

WĘDRÓWKI

LITERACKIE.

FANTASTYCZNE I HISTORYCZNE.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

W WILNIE.

W DRUKARNI S. BLUMOWICZA.

w Domu JO. Xięcia Ogińskiego.

1839.

Dozwala się drukować pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożona była w Komitecie Cenzury liczba exemplarzy Ustawę przepisana. Wilno 1837 d. 31 paźdz.

Cenzor, Leon Borowski.



I.

WYJAZD W DROGĘ.

To horse, to horse — he quits, for ever quits
A scene of peace — — —

Ch. Harold Pil. C. 1. s. XXVIII.

Któż z was nie uczuł kiedy ciężkiej ręki losu? Kto z was nie tęsknił za pokojem nieprzerywanym trudnemi wypadkami życia, suchemi jego szczegółami, nudnym egoizmem ludzi, a nudnićjszém często jeszcze ich przywiązaniem?

Kto z was nie zarumienił się schodząc raptownie z poetycznych marzeń, do zimnych drobnostek przypominających nam smutną niewolę duszy nieśmiertelnej, w glinianém naczyniu naszém zamkniętej?

Kto z was nie pomyślał w jednej z wycieczek nad ziemią, że lepićjby w tamtej krainie, dumań i myśli pozostać?

Kto z was raniiony w serce, z tęsknotą w duszy, łzą w oku, westchnieniem w pierśsiach, uniesiony na chwilę w obłoki wspomnienia, nie przeniósł przeszłości nad terazniejszość, wspomnień nad uczucia?

O! przyjaciele moi, *pariom* towarzystwa wygnanym zewsząd, niema jak ten świat cichy którego wrota dla wszystkich stoją otworem.

Idźmy tam i [zapomnijmy o troskach naszych, żyjmy przeszłością, dumaniem, marzeniem, pokarmami dusz smutnych, których nie nasycą obiady i bale, tańce i uściski, rozmowy wlokące się jak czarny dym po ziemi. — Kochania motylowe, gniéwy półwieczne i wszystko to czém się karmią ludzie, którzy na celu drogi swojej widzą tę samą kałużę, z której wyszli.

Włóżmy na plecy lekkie tłumoczki wędrowników, a w nich wspomnienia nasze drogie i oczyszczone łatanii pamiątki, weźmy kij w ręce, pożegnajmy nasze gniazda i dalej w drogę! Troski zostawmy na progu i bieźmy prędko — może nas nie dogonią!!



II.

POPAS W UTRIECHTE.

ANNA MARIA A SCHURMAN.

(Schuurmann Schurmans.)

1607. 1678.

B I O G R A F J A.

Fama di loro il mondo esser non lassa,
 Non ragioniam di lor, ma guarda e passa !

.

1.

Gdybyśmy się chcieli przekonać, o ile użyteczniejsze są pojedyncze biografje od historycznych wielkich obrazów, pod względem moralnego ukształcenia, możebyśmy w spisie nauk umieścili kiedy oddzielną biograficzną gałąź historij, a ta zastanawiając się nad życiem różnych osób, wskazując sposoby jakiemi doszły swego celu, znaki jakiemi w nich odkrywały się zdolności i powołania, postużyłaby za praktyczną naukę życia. Biografie

każdego stanu sławniejszych indywiduuw, zostałyby osobno podzielone i stosownie dawane tym, do których się odnoszą. Korzyści moralne mogące z tego wyniknąć, są zdaje mi się, tak oczewiste, że ich nawet wypisywać niepotrzeba.

Do tego kursu, możnaby potém dodać jeszcze, część jedną, dla samój tylko ciekawości — *Fenomenografią*, opis życia osób które nic wielkiego nie zrobiwszy, są jednak sławne, które się 'unieśmiertelniły jakąś osobliwością, dziwactwem.

Herostrat i cała jego z późniejszych wieków mnoga rodzina, ludzie którzy życie święcą dla` częściej nadziei wstawienia się, ci którzy je trwonią na nabycie błyskotnych tylko wiadomości, ażeby niemi zadziwić, ludzie którzy bezsilni do tworzenia, targają się na dzieła jenjuszów, ażeby je przynajmniej wspomnieniem zniszczenia z sobą połączyć, ci wszyscy i wielu innych pomieściłoby się w tym rzędzie.

Lecz biografie nie takby się pisać powinny jak się zwykle piszą, bo w dykcjonarzach najlepszych suche są tylko fakta, skrócone i często fałszywe, bo nie z piérwszych i autentycznych źródeł, lecz dorywczo zbierane na historycznych śmieciach, więcćj dał niż

rzeczy, crudycij pochwytanój niż rozumowania — w autobiografiach prawie zawsze *ja* tak jak wymalowane, wyzłocone, upstrzone i posadzone tak wysoko, że się zbyt niemiłym podniesieniem za małe wydaje, a nareście żeby sądzić o człowieku, oprócz niego i innych jeszcze słuchać potrzeba. — W pochwalnych mowach zacząwszy od Fontenella są tylko pochwały, a jeśli czasem pseudokrytyka powolna i drżąca jak cień się wśliznie, jest tylko fanfaronadą bezstronności a częściej zadośćuczynieniem opinij, która tego nieodzwonnie wymagała. — *Magazyny* umieszczają wprawdzie czasem biografje nowo robione, rozumowane, ale te są zbyt krótkie, obcięte, zastosowane do miejsca, robione na zakaz, i jak wszystko co się robi nie z powołania talentowego, ale z jakiegokolwiek bądź osobistego, bądź stronniczego widoku, niezastęgujące na wiarę, bo bez przejęcia i entuzjazmu, choć czasem z talentem pisane.

Pismo najlepsze pod względem artystycznym, jak tylko nie jest natchnioném, cóż warto?

Spodziéwam się, że w życiu Panny Marij Schurman Flamandki, które wam zaraz opowiem, nie zechcecie widzieć dumnie narzuconój formy do pisania biografij. — Teo-

rje już przeszły, a ja ich wskrzeszać nie myślę.

2

Anna Marja a Schurman urodziła się w Utrechcie (1) dnia 5 Listopada 1607 roku.

Dziecinne jój usposobienia zapowiadały nadzwyczajną łatwość pojmowania, spamietania i naśladowania. Około trzech lat mając zaczęła czytać, w szóstym roku wycinała bardzo zręcznie z papieru rozmaite postacie bez wzoru, w siódmym mówiła trochę po łacinie, w ósmym rysowała kwiatki wcale nie źle jak na swój wiek, w dziesiątym nagłona od matki nauczyła się haftować w przeciągu trzech godzin.

Ta cudowna łatwość do nauczania się wszystkiego, była powodem, że z początku przeciwni męskiemu sposobieniu się do nauk rodzice, pomyśleli nareście, aby jój dać stosowne do odkrywających się talentów wychowanie. — Łacińskiego języka początki od nauczyciela, który go braciom jój wykładał nieznacznie nauczyła się; lecz matka zawsze

(1) *Descam. Tom II. p. 118.* według innych w *Kolonii r. 1606 — Dict. Biograph. (1789. 8vo IX. Vol.) VIII. Vol. p. 375.*

jeszcze w głębi duszy zatrudnieniom płci jej niewłaściwym, przeciwna, często zasa-
dzała ją do igły. Tak biedna Marja siedząc
nad nudną robotą, kręcąc nożyczki w ręku,
wycinała z papieru figurki, których kształty
coraz poprawniejsze, przygotowywały ją do
rysunku. — Nikt jej nie uczył, nikt nie za-
chęcał, wszakże każdy kwiatek, zwierzę,
drzewo, obudzały w niej ten popęd naśl-
downiczy — brała się do rysunku i z podzi-
wieniem ujrzała ją wkrótce malującą kwiaty,
owady, ptaki, twarze, chociaż nie miała in-
nego nauczyciela do tego, nad wrodzoną
zdadność.

Powiadają że ktoś z młodego Picus Mi-
randoli żartował mówiąc, iż za młodu za-
dziwiające talenta, nie na przyszłość wiel-
kiego nie rokują, a Picus odpowiedział mu
dość trywialnym konceptem — Musiałeś być
bardzo dowcipny za młodu! Lecz z prze-
proszeniem jego, zdanie to, iż odznaczające
się zdadności w młodym wieku, nie wiele
rokują — jest prawdziwe.

Zwykle bowiem w dzieciństwie i przy-
spieszonj młodości odkrywają się tylko ta-
lenta mechaniczne, naśladownicze, zdolności
do nauk więcej pamięci niż jeniuszowi wymaga-
jących, wielkie jeniusz (świadczeniem Newton)

pożno i trudno wzbijają się lecz trwałej. — Picus Mirandola, Hugo Grotius cóż zrobili obiecując w młodości tak wiele? — byli tylko fenomenem, *monstrum sine vitio*, jeśli się podoba.

Krzyczano na cuda z początku, lecz gdy nadal większych się cudów potrzeba było spodziewać — zostało tylko to, co było.

Marja powołana w dzieciństwie zapałem do sztuk pięknych, oddała się im i naukom. Ojciec przekonany o potrzebie dania jęj stosownego wychowania, sam ją doskonalić zaczął w łacińskim języku, metodą praktyczną, zaczynając od tłumaczeń Seneki. Dla czego od tego autora, nie od innego, powiedzieć nie umiem, nie widać bowiem w dziełach jego, ani czystego i łatwego porządkowania myśli, ani ściśle zachowanych form językowych, któreby ten wybór usprawiedliwiały.

Mając lat dziesięć Anna Marja przetłumażyła na język francuzki i flamandzki, kilka traktatów Seneki.

Lecz niedość na tém, wkrótce zaczęła się uczyć po grecku, i jak wszystko tak i to poszło jęj z wielką łatwością.

Po śmierci ojca mogła już zupełnie oddać się swoim ulubionym pracom — jęj dom stał

się miejscem schadzki uczonych i artystów, imię zaczęło być znajome i najznakomitsi literaci pisywać do niej zaczęli, aby ją wyciągnąć na odpowiedź.

W Lejdzie professorowie Uniwersytetu osobną dla niej ławkę w salach prelekcij i miejscach gdzie *tezes* broniono stawiać kazali, aby mogła być przytomną, nie mieszając się z tłumem, pomysł arystokratyczny, który pokazuje, że się nigdzie bez arystokracji nie obędzie.

Zapalona pochwałami i wziętością swoją, które jej zdolności prędkiej jeszcze rozwinęły, zaczęła się doskonalić w łacińskim i greckim języku, a nakoniec sławny filolog Vossius lekcje hebrajskiego dawać jej zaczął. Wkrótce wyuczyła się tak, że pisać mogła po hebrajsku, *syryjsku*, *chaldejsku*, po grecku, po łacinie, po hiszpańsku, po włosku i po niemiecku, mówiła i pisała z łatwością po francuzku, rozumiała po angielsku.

Jest jednak ze strony biografów amplifikacja co do języków syryjskiego i chaldejskiego, których umiejętność dobrodusznie jej przyznają. Któż bowiem nie wie, że te dwa dialekty utonęły oddawna w języku hebrajskim i są oddawna bez życia, zapomniane, niepodobne do nauczania, nazbyt ubogie,

nawet na siedmnaastego wieku potrzeby umysłowe, i tak prawie jak nieekzystujące, bo tylko cząstkowo o tyle, o ile do składu języka hebrajskiego wpływały znajome. Marja Schurman prócz wymienionych języków, cytowała wprowadzić jeszcze arabskie zdania alkoranu (w liście o przeznaczeniu) — ale ktoś nie wie, jak cytacje są słabym dowodem umiejętności języków.

Oprócz umiejętności języków, Anna Marja wprowadziła się, zapewne słuchaniem tezes w Lejdzie, do scholastycznej polemiki, wówczas bardzo w modzie będącej, bez której form sakramentalnych, nie się filozoficzno-uczonego nie pisało. Jój też pisma są tylko odbiciem innych tamtego wieku i kraju, w których taż sama czezość myśli jak w innych, ten sam jak w innych nawet erudycij, cytacij i pedanterij widzieć się daje.

Rozmaite sposoby rysowania i malarstwo były takżę jój ulubioną zabawą — dosyć biegle wycinała portrety na szkle diamentem, robiła minjatury, historyczne obrazki olejno i sztychy *au burin* i *a l'eau forte* (rylcem i serwaserem). Rzeźbiarstwo, a raczój płaskorzeźba, nie była jój obcą, najwięcej portretów wycinała z drzewa lub słoniowej kości; znała prócz tego muzykę, grała na lutni i klawieymbale.

Portrety jój matki, braci dwóch i jój własny, zrobione z drzewa palmowego, były tak wyborne na swój wiek i zapewne pod względem, kto je robił, że malarz Honthorft, ceniał jeden tylko jój portret, tysiąc złotych holenderskich.

Oto jest poprzedniczy rys krótki posiadanych przez nią nauk i talentów, to jest tych z których każdego po troszę liźnęła — w wieku który nowych pomysłów nie wymagał, i żył (pod opieką reguł i form ułatwiających tworzenie artystyczne) kompilacjami, Marja mogła uchodzić za wielką, i taką ją współcześni ogłosili.

5.

Jakiego rodzaju był talent i zdolności Anny Marij Schurman? — Jest to pytanie na które odpowiedź pisma jój dadzą. — Z owoców ich, poznać ich, powiada Pismo święte. Marja przy talencie obserwacji, miała łatwość naśladowania, pamięć wielką, zręczność w przywłaszczaniu sobie cudzych myśli, pod inną tylko formą, wszystko to do pewnego tylko stopnia.

Albowiem ktokolwiek zdolności swoje, zamiast zgromadzenia w jedno ognisko, zastosowania do jednego celu, rozprasza po wielu

przedmiotach, ten w żadnym nawet chwilowej doskonałości nie dojdzie.

Człowiek jako stworzenie jedną mające duszę, nie może, ani dobrze dwóch rzeczy razem robić, ani o dwóch myśleć razem, ani w dwóch się razem doskonalić.

Jeden przedmiot jakikolwiek raz obrany, jest więcej niż wystarczającym na życie człowieka. Skierowanie wszystkich zdolności na jeden przedmiot jest jak skupienie promieni słońca w zwierciadle Archimedesza, rozproszone grzeją tylko, zjednoczone palą.

Człowiek rozdrabiający się na różnostronne prace dokładnego nawet o niczym wyobrażenia nie powezmie. Polihistorja jest marzeniem, a wszystkie biblioteki chodzące fanfaronadą podobną do encyklopedij popularnych, w których są tytuły wszystkiego, a pod tytułami — nie.

Anna Marja nie miała najmniejszej części tego jenuśzu twórczego, który uwielbiamy w prawdziwie wielkich ludziach pierwszego rzędu, jenuśzu który w istocie, zawisł tylko na zupełne nowój kombinacji materjałów umysłowych, lub nadaniu nowych form starym już wynalazkom — talenta Anny Marij ograniczały się dość umiejętnem, ale tylko naśladownictwem.

Rysunki jój, były po większej części portretami nie obrazami w których twórczości i układu potrzeba, kwiaty, owady, peizaże, przedmioty więcćj mechanicznój wprawy niż smaku i wynalezienia wymagające, były jój najpospolitsze.

Toż samo w pismach, myśli bardzo mało, suche frazesy łacińskie, foremne, znajome, bo urywkami czytane tysiąc kroć we wszystkich tego wieku jednosłowych pisarzach — a dużo crudycij oto ich treść cała. W poezijach ta sama normalność, ta sama oziębła regularność, brak imaginacij i wynalazku, dówcipowanie francuzkie, sofistyczność ostatnich czasów łacińskich.

Nic pewnego, stanowczego, uderzającego, żadnych pomysłów świeżych, żadnych wniosków nicoczekiwanych nie znajdziesz w jój dziełach — wszystko jest skutkiem tego rozproszenia umysłowego, za którym poszło osłabienie.

Annę Marję każdy malarz przewyższyłby nawet w mechanicznój części swojej sztuki, każdy snycerz w snycerstwie, każdy crudyt w crudycij, każdy poeta zapałem — cała wartość jój że była razem malarzem, snycerzem, crudytem i poetą. Ale cóż kiedy w żadnej z tych gałęzi, nie znać śladu jój

życia i przejścia — malowania nie należą do żadnej szkoły, snycerszczyzny wspominać nie warto, erudycja odgrzewana, poezja sucha i blada. Słowem jednym było to wielkie — bardzo wielkie — nic. —

4.

Imię jej dziś jest już prawie tak jak nieznajome, lecz wiek w którym żyła okrzyczał ją za dziesiątą Muzę, za Safo Hollandij, za ósmy cud świata, najuczciwsi szczycili się jej listami, a Fryderyk Spanheim był jej pism wydawcą (1).

-
- (1) Fryderyk Spanheim autor mnóstwa dzieł teologii polemicznej urodzony w Amberg — Profes. Uniw. w Lejdzie. Tytuł tej edycji jest następujący: *Nobilissimae virginis Annae Mariae a Schurman opuscula Hebraea, Graeca, Latina, Gallica, prosaica et metrica. Ed. 2da auctior et emendatior. Lugd. Batav. Ex officin. Elzevir. MDCCCL (1650) 8vo min. 376 p. z portretem jej przez nią samą rylionym i dystychem*

*Cernitis hic picta nostros in imagine vultus,
Si negat ars formam, gratia vestra dabit —*

i napisem *Anna Maria a Schurman an. aet. 33. 1640.* Inne edycje pism jej wymienim następnie — Co się tyczy Spanheima, tego najwypracownisze dzieło pod względem historycznym jest Rozprawa (po łacinie) o Paszessie Joannie, tłumaczona na niemiecki i francuski język, ważna dla cytacji mnóstwa nieznanych rękopismów — a dla nas zajmującą wymienieniem kopij rękopismu Marcina Polaka, które przytoczmy na innem miejscu.

W przedmowie piszę, iż na nią wysiliła się natura tak, jak tylko na kobietę wysilić się mogła; chwali także — „*pietatem sine schemate, modestiam sine exemplo et miram, morum vitaeque sanctitatem*“ — i dodaje: „*Et quamvis maxime laudari mereatur, nihil minus tamen, quam laudari cupit. Quod ipsum etiam supra laudem est.*“

Nie zapomina także oznajmić, że edycja ta pism jej, mimo jej woli się robi, chociaż listy jej samej zawarte w niej dowodzą, że wiedziała o tém i wcale się nie opierała.

Osoby z któremi miała związki były — Anna Marja Królowa Węgierska i Ludwika jej córka, Elżbieta Księżna Palatyńska, Marja Ludwika Gonzague Królowa Polska żona Władysława IV, Anna Księżna de Rohan.

Uczeni zaś, — *Joh. Beverovicus Senator Archiater Dodrechtanus*, któremu przypisany list *de Vitae Termino*, w istocie o przeznaczeniu — przedmiot zuchwale obrany, bo o nim w tymże czasie bardzo wielu uczonych pseudo-filozofów pisało.

D. Adreas Rivetus Theolog, któremu przypisane *Problema practicum — Num faeminae christianae convenit studium litterarum?*

Jan Smith, Jakób Lydius, Jan Cloppen-

burch, Fryderyk Spanheim, Claudius Salmasius. — *Meletius* Arcybiskup Efeski, do którego pisała po grecku, *Jakób Catzius, Adolf Vorstius, Konstanty Huygens, Wilhelm Staackmann, Jan de Laet, Pani Moor* (do której pisała po łacinie) *Piotr Cassendi, Simonds d'Erves, Lambert Goris, Lieffrid Osterwick, Jakób Crucius, Du Moulin* (francuz, książdz).

Wyliczemy jeszcze tych, którzy ją w piśmachi swoich chwalili, aby tego długiego spisu dopełnić, który da wyobrażenie, jakiej była ceny w swoim wieku, ta Muza Belgijska.

Daniel Heinsius, Georgius Staackmans, Jan Brverovicus, Smith który ją z trzema Annami porównywa, *Anna, Susia, Vestalis, Palanda i Vtenhovia; Isaac Gruter, Bulzac* sławny listopisarz, który prosi aby jej w tym rodzaju pisania przyznane było pierwszeństwo nad nim, rzecz dziwna na francuza i na tak próżnego człowieka.

Julwik Jacobi od S. Karola Kabiloneński Karmelita, w swojej Bibliotece kobiet sławnych, użalając się nad tém, że nie jest religij Katolickiej, głosi także jej pochwały, przyznając jej uniejętność języków — Hebrajskiego, Chaldejskiego, Syryjskiego, Arabskiego,

Tureckiego, Greckiego, Łacińskiego, Francuzkiego, Angielskiego, Włoskiego, Hiszpańskiego, Niemieckiego, Flamandzkiego i Holenderskiego. Cytuje on pochwały *Gabriela Foudens* Mazaryńskiej Biblioteki bibliotekarza, *Salmasiusa* w przedmowie do praw Greckich i Rzymskich (*Jus atticum et Romanum*) *Jakóba Crucius* i *Jakóba Martin*, Paryżanina, który o niej Epigramma i pochwałę napisał.

Oprócz tych inni jeszcze pisarze z pochwałami o niej wspominają.

Jacobus Castius in poemate *Belgico*.

Zachutus Lusitanus, Medyk w swojej *Historia Medicorum*.

Valerius Andreas Desselius in *Bibliotheca Belgica* (1645—4.)

Dominik Gilbertus w panegiryku na cześć jej, przypisanym *Gabrielowi Svaudens*.

Caspar Barlaeus w *Epigrammatach*.

Konstanty Hnygens także.

Andrzej Rivetus w listach do niej.

Adolph Vorstius także.

Andrzej Polvius także.

Jakób Lydius w *Merkurjuszu Baławskim* (p. 507. 536).

Lazarus Meyssonier, Medicus Lugdunensis (*Epist. ad Beverov.*)

Daniel Heinsius w życiu Marij *de Romanieu*.

Jacobi w traktacie o bibliotekach znaczniejszych świata (*Appendix* p. 29.)

Karol Duchesne. — Paweł Jakób Lugdmiczek w pochwałę francuzkiej Anny Marij Schurman.

Hilarion de Coste Ordin. Minim. w przedmowie pochwały kobiet sławnych.

Franciszek Collotetus (syn Wilhelma) w *Epigrammatach*.

Wszystkich tych pochwał wypisywać w całości niepodobna; przytoczym tylko dwie, dla dania o nich ogólnego wyobrażenia. *Claudius Salmasius* tak pisze.

„Mamy w mieście o jeden dzień drogi zład oddalonym (w Utrechie) panienkę sławnego rodu, nie mniej od Hippiana w wielu gałęziach sztuk biegłą, a tem bardziej godną podziwienia że w tej płci, rzadko się zdarza taka płodność umysłu, taka mnogość nauki i tyle cnot razem. Co tylko się umysłem wynaleść, a ręką da zrobić, ona umie.

„Maluje jak nikt lepiej, wyrzyna na miedzi, wyciska na wosku i na drzewie podobnie. — W frygijskich sztukach wszystkim kobietom właściwych, przesadza dawne i współżyjące kobiety. Co do nauk, tych ma

tyle i tak w nich jest doskonałą, że nie wiem w której celuje. Tyle umie języków. iż nie wystarczyło jej Europy i na wschód aż przeleciała nauką, porywając złamtąd Hebrajski, Arabski i Syryjski języki aby je dołączyć do posiadanych. Po łacinie tak pisze, że nikt nie potrafi lepiej nawet z tych co całe życie doskonalić się w tym języku pracują. Nad francuzkie jej listy, chyba Balzac lepsze napisać potrafi. Wielu językami Européjskimi, tak mówi jakby jej były rodzinne. — Z Izraelitami po hebrajsku, z Saracenami po arabsku może mieć korespondencję — nawet nauki trudne i ostre dla nas filozofją scholastyczną i theologją, tak posiada że wszystkich zadziwia, bo to do cudu podobne, nikt się z nią o piérwszeństwo nie ubiega, bo nikt naśladować nie potrafi, nikt nie zazdrości, bo wyższą jest nad zazdrość.“

To jeden, teraz będzie nam mówić drugi — Jan *Laboureur* w opisie podróży Królowej Polskiej Marij Ludwiki Gonzagi żony Władysława IV (1) — który tak wspomina odwiedziwy królowej, Marij Schurman uczynione dnia 26 grudnia 1645.

(1) Paris. 1648. 8.

„Dnia następnego 26 Grudnia, Królowa Polska okazała jak dalece wysoką cenę przywiązuje do nauk. Zastyszawszy o Annie Marij Schurman panience rodem z tego miasta (Utrechtu) i o piękności jej zbiorów (Cabinet), zażądała ją odwiedzić, ale bez ceremonjału, dla uniknięcia zgromadzeń tłumnych ludu, któryby szedł za nią. Zostawiła więc dwór swój i siadła *incognito* do karety Pani Marszałkowej (de Guebriant), mając z sobą tylko Biskupa Oranii i cztery czy pięć osób, z których jedną ja byłem. — Przejeżdżając widziała wielki kościół i wysiadła w domu tej dziesiątej miży, endu swojego wieku i płci. Nie bez podziwienia oglądała doskonałe roboty, jej rękami uczynione, w malownictwie, miniaturach, kolorowaniach, sztylachach rylcem i djamentem na miedzi i szkłe, które jej zjednały sławę biegłej w sztukach najznajmniejszych między rącznikami. Jednakże podziwienie to wzmoгло się, gdy ją usłyszała mówiącą tylą językami i o tylu naukach. Odpowiadała Biskupowi Oranij po włosku, badającemu ją z rozkazu królowej i argumentowała bardzo zręcznie po łacinie o kilku punktach Theologii. Z równaż pewnością odpowiedziała w tymże języku na komplet, który jej powiedziałem od P. Mar-

szalkowćj. — Mówiła po Grecku z P. Corrade pierwszym lekarzem królowej, a byłaby do nas jeszcze i innemi mówiła językami, gdybyśmy je umieli, bo oprócz greckiego, łacińskiego, francuzkiego, włoskiego, hiszpańskiego, niemieckiego i flamandzkiego który jest jej rodzinnym, zna także wcale dobrze hebrajski, syryjski i chaldéjski, a do mówienia niemi, brak jej tylko trochę wprawy. Również wiadome jest jej położenie krajów, tak że mogłaby w nich podróżować bez przewodnika i tłumacza.

5.

Pisma jej znaczniejsze są — naprzód: *De Vitae humanae termino*, właściwie o przeznaczeniu, rozprawa w której żadnych nie ma nowych pomysłów i kilkadziesiąt tylko cytacji — myśli rozwleczone i pokryte warstwą scholastycznej łaciny. Wyszła *Lugd. Batav. ex Officina Joannis Maire*. 1639. 4to. *Studio Joannis Beverovicii, cum aliis celeberrimis Philosophis, ejusdem argumenti autoribus.*

Także po hollendersku. *Dordraci*. 1639. 4to.

Rozprawa o nankach jakie służyć mogą kobietom, o zdadności hobiect do nich, potrzebie nabycia i t. d. (*Problema practicum*).

Lugd. Batav. ex Offic. Elzevir. 1641. 8. (112 p.) tłumaczone na francuzki przez Wilhelma Collotet Paryżanina.

Listy o tymże przedmiocie do Andrzeja Rivet Doktora Theologij (Ewangelika).— *Lugd. Batav. ex officina Elzevir. 1641. 8vo.* I to tłumaczył Collotet, przedrukowane później z poprzedzającą rozprawą w edycji *Lugd. 1650. 12.*

Inne jej pisma są: Epigramma łacińskie do Jana Isaaciusa Pontana, do Huygensa, do autora historii Utrechtu. — Wiersze dosyć wszystkie panegiryczne, nigdzie w nich nie ma czystego zapachu, pisane z okoliczności, z okolicznościami zginęły. Lecz największą część jej dzieł składają listy do rozmaitych osób pisane, greckie, hebrajskie i dość wiele francuzkich, listy po większój części krótkie, których całą zaletą jest pewna gładkość stylu, kryjąca pod sobą zupełną czczość myśli. Prócz tego napisała jeszcze *Euclerję*, mało znajome dzieło, w materij religijnej, wykładające zasady sławnego *Labadie* i ołoż jej całe zasługi i prace.

Z portretów Anny Marij, które nam sama zostawiła, widać że nie była piękną, twarz miała okrągłą, nos duży, oczy wielkie, czoło szerokie, kwadratowe, wyniosłe, usta szerokie

lecz miłe. — Ile z rysunku poznać można. organa umiejętności języków, Theozofij i krytyki na czole są dosyć rozwinięte (1).

Takie jakśmy opisali były zatrudnienia i prace Anny Marij w pierwszej połowie jej życia, to jest do roku 1650, a jaka odtąd zaszła w niej odmiana, i ile poznanie jednego człowieka na całą resztę życia jej wpłynęło, zaraz wam powiem.

6.

Anna Marja miała w roku 1650 lat 45. poświęcona naukom, zajęta sztukami, dom swój uczyniwszy akademją literatury i sztuk pięknych (2), a siebie ich wyznawcą i nauczycielem, rozdzieliwszy swój czas między obciążającą lecz łechcącą dumę, korespondencją, czytanie i malarstwo; nabożna przytém i filozofka, nie znalazła w tym tłumie przesuwających się przed nią osób tego, którego jej Bóg przeznaczył za towarzysza doli i życia. Jednych ona nie chciała, drudzy jej nie chcieli — tak minęła młodość utopiona w atramencie nad cichym stolikiem pracy w Utrechie.

(1) O położeniu tych organów patrz jakikolwiek wykład systematu Galla.

(2) *Descamp. loco citato.*

W czterdziestym roku ominięły ją już marzenia miłości, sława i pobożność owdadły ją zupełnie. Lecz sława jej odrazu doszła tak wysokiego stopnia, że już półem nie rosła, a pobożność nie zupełnie jeszcze zaspokajała jej serce. Takie są skutki przeciwnieństwa powszechnym prawom, nadanym dla ludzi. Marja niebędąc żoną i matką ale filozofką tylko, czuła taką cześć w koło siebie, że w czterdziestym roku chcąc się przywiązać do życia nowym węzłem, rzuciła się w ślady awanturnika, herezjarchy, człowieka którego imię zginęło dawno w śmieciisku plugawym podobnych jemu nazwisk.

W Utrechie poznała ona Jana Labadie, naówczas sławnego już herezjarchę, którego zasady jednak mało miały wziętości, a on sam wygnaniec zewsząd, szukał już z słabą bardzo nadzieją, schronienia i podpory.

Labadie wiedział że sława Ammy Marij mogła mu cudownie dopomódz do rozszerzenia jego herezji, starał się ją poznać, musiał jej pochlebiać i przeciągnął łatwo na swoją stronę. Marja stała się odtąd silną stronniceczką dogmatów Labadie i jego dozwonną przyjaciółką i towarzyszką.

Ten ostatni wypadek, jest jeszcze jednym dowodem słabości jej charakteru i głowy,

kobięta rozumna dałażby się uwieść tak bezsensownym jak Labadiego prawidłom pokaleczonęj wiary?

Labadie starszy trzy lata od nięj był synem żołnierza z Cytadelly Bourg en Guienne, od piętnastego roku życia przyjął sukienkę u Jezuitów w Bordeaux, i tam nie wiem czy przybyły z zarodami zepsucia, czy nabywszy ich, tak dobrze umiał jednak omamić wszystkich, że gdy potęm zażądał wyjść z zakonu, puścić go niechciano. Wyrwał się jednak odurzony myślą utworzenia nowęj jakięjs sekty chrześcijańskięj, i zaczął od życia na pustyni wzorem S. Jana Chrzicięla, karmiąc się korzonkami, roślinami i przepowiadając w błędnęj swojęj pustelniczēj wędrówce po Guienne.

Tak ostre życie zyskało mu więtość i jako duchowny użyty został w diecezji Amiens, gdzie za świętego nawet uchodził, ale niedługo, gorszące zwięski, które się odkryły, pokazały że był tylko zręcznym hipokrytą, Biskup Amięski, kazał go szukać i uwiezić, ale Labadie ze zwykłą sobie zręcznością wymknął się. Potęm przebywał czas jakiś w Bazas i w Tuluzie, uczyniony nadzorcą klasztoru zakonnice, wprowadził tam zasady Quietizmu. — Arcybiskup Tuluzy skasował

klasztor, kazano go ścigać, umknął znowu.

Ukryty w klasztorze Karmelitów niedaleko Bazas, nazwał się Janem od J. Chrystusa, czynił proroctwa i obłąkał wielu swemi zasadami które powierzchownie zgodne z katolicyzmem, miały za cel wprowadzenie, tego apatycznego quietizmu Molinosa, który niszczył najpiękniejsze i najzasadnicze przepisy chrześcijańskie. Według niego, wszystkie zbrodnie dały się wymówić intencją, obrzędy i najistotniejsze nawet punkta wiary wszystko przetworzone i spotwarzone zostało. Exaltowana kontemplacja i ekstatyczne połączenie się duszą z Bogiem było najwyższym stanem łaski i szczytem doskonałości, a w istocie pokrywką i wymówką wszystkich innych występków.

Z klasztoru Karmelitów uciekł znowu ścigany Labadie do Montauban, ale tam porzucawszy już nawet pozór katolicyzmu, przeszedł na Ewangelika i był pastorem lat osiem.

Nie byłby się tak długo i w Montauban ostał, gdyby wielkie mnóstwo kobiet, które nawiódł pozorami religijnego zapału, strony jego nie trzymały. Skończyło się jednak że i zład wygnany został i schronił się do Middelburga.

W tym czasie nastąpiło poznanie się jego

z Anną Marją, którą pochlebstwem na swoją stronę przeciągnął, aby użyć jej sławy i wziętości u możnych, dla podtrzymania upadającej sekty.

Dopiął tego celu, a Anna Marja z całym zapalem dziewiczym, tym większym, im dłużej zapomnianym w sercu, rzuciła się ku niemu — Przywiązanie jej stało się nagle silne, nieprzełamane i wyłączone. Malowidła, rzeźby, książki i nauki, wszystko w kął poszło, dom jej stał się propagandą kwietyzmu i gniazdem teologicznych dysput.

Gdzie się ruszył Labadie, ona szła za nim, rzuciwszy wszystko dla niego — Osobliwszy fenomen w kobiecie oddanej z dzieciństwa naukom, którą jeden awanturnik uwodzi i prowadzi za sobą przewagą charakteru i energią męską, fascynacją której władzy prędkiej później poddaje się najupartsza kobieta. — Pówtarzani jest to dowód, że Anna Marja nie miała ani kropli jenuzu, bo jenuz ciągnie za sobą, ale za nikim nie idzie.

Marja złączona ściśle przyjaźnią z księżną Palatyńską Elżbietą, przyjaźnią ugruntowaną na wspólnem zamiłowaniu nauk, pociągnęła i ją za sobą. Ten wypadek powiększył małą już liczbę uczniów Labadie, ale prędko odkrycie niektórych przeszłego jego życia wy-

padków i nowszych występnych i świętokradzkich zwiąsków, odbiło znowu od niego wszystkich.

Wszystkich — ale nie Marią — ona opu-
szczonemu towarzyszyła wszędzie, bo jej serce
raz ale na zawsze przywiązało się do niego.

Z nim uciekła do Erfurtu, ztąd wygnani
wojną, uszli znowu do Alteny w Holstein.

A było to już w roku 1674 w lat dwa-
dzieścia cztery po poznaniu się Marij z La-
badiem, Marij która przez ten ciąg czasu
wierna swoim postanowieniom, nie dała się
odwieść od niego, ani długą liczbą lat,
która często i stałsze targa więzy, ani oczy-
wisteni Labadiego występkami, któreby muićj
poświęconą i przywłazaną kobietę, dawno
odstręczyły. Charakter jego żaden, zasady
fałszywe, życie błędne, ciągłych wygnań,
głodu i męczarni umysłowych i cielesnych,
nie nie zraziło Marij — to postępowanie nie
jest może takim, jakieby rozum pochwalił,
ale serce przyznać musi, że w niem była
stałość uwielbienia godna i lepszego celu.

Jan Labadie skonał na jej ręku w Altenie
roku 1674.

Odtąd smutniejsze jeszcze były, cztery ostatnie lata jój życia. — Sława jój zgasła przed nowo wschodzącemi światłami, umarł ten, któremu ją poświęciła, zapożne stały się nadzieje nowego wsławienia się sześćdziesiątletniej kobiecie; związki czas potargał, uczonych przyjaciół rozsypało przeznaczenie daleko po świecie, była tylko niedogasta iskra w młodości nabytej sławy, błyszczącego początku życia, ale i ta gasła powoli, inne przedmioty zajęły uczonych i możnych nikt nie znał, wszyscy już zapomnieli o Marij.

Po śmierci Labadie usunęła się do Wieward w Fryzji, zajmując się bez przerwy dalszym rozwijaniem zasad Labadie aż do śmierci. Theologja wygnała wszystkie dawne zatrudnienia i temi to czasy wyjść musiała *Euccleria*, pismo jój popierające jeszcze zasady zmarłego przyjaciela.

Że jednak ten popęd do theozofij, był w niej od początku wrodzony, pokazuje się to z wielu miejsc pism przed poznaniem Labadiego wydanych i zgodła które sobie obrała:

ὁ ἐμὸς ἐρως ἐσταυρώς (1)

(1) Kochanie moje ukrzyżowane (jest).

List jój do Beveroviciusa *de Vitae Termino*, wiele ma cytacji z Pisma S. i chociaż niepotrzebnymi zdaniem Platona, Seneki, Pindara, Cicerona jest najeżony, właściwie jednak bardziej się zwać powinien theologicznym niż czysto filozoficznym.

Ta sama dążność spostrzegać się daje w rozprawie o nauce kobiet — na dnie pism jój przebijają się zawsze theologja — równie i w listach przed poznaniem Labadie pisanych do Ojca Rivet, do Pani Moor, do Doktora Theologij du Moulin, do Anny de Merveill, do Panny de Gournay i t. d. i t. d.

Ten pociąg theozoficzny, bardzo naturalny w kobiecie, byłby przymiotem i ozdobą jój charakteru, gdyby ją nie był wciągnął na nieszczęście w błędy bezrozumnej herezji i poszukiwań czczych, w których zgubiła pokój duszy, a niezyskała w zamian nawet tej sławy, której tak pragnęła.

Cztery ostatnie lata jej życia, były ciągłą ekstazą i nabożnem rozmyślaniem, które jej przecie nowego rodzaju wziętość zjednało, nadając pewien świętości charakter — Umarła jak żyła — sama, bez rodziny której sobie zrobić nie chciała czy nie umiała, zaniedbując najistotniejszych obowiązków kobiety i człowieka. Umarła, jedni piszą, w Altonie,

drudzy, w Wieward roku 1678, mając lat siedmdziesiąt jeden.

8.

(1) Ażeby mieć wyobrażenie jej sposobu pisania, trzeba przedewszystkiem czytać jej listy — malują one najlepiej jej talent zaszczepiający się na wielkiej znajomości frazeologii, myśli są słabe i nigdzie nie wychodzą z pospolitych form wieku i źródeł ogólnych. Wyobrażenia o naukach i sposobie wykładania ich są bardzo słabe, użyteczność ich nawet i źródła niewyszczególnione jakby się spodziewać można, znajdujemy w liście z Utrechtu dnia 7 Września do Księżny Węgierskiej pisanym. Wszędzie znać brak gruntowności, który się łatwo pojmuje ze względu na ilość przedmiotów. Pisma jej są teraz tylko ciekawością bibliograficzną po bibliotekach, ale dawno nikt ich otworzyć nie śmie — życie jej jak kropla rosy w suchą ziemię, wsiąkło w przeszłość zupełnie i cóż z niego zostało? garść popiołu i wspomnienie w dykcyonarzy biograficznych!

(1) Ze wszelką skrupulatnością nie mogę pominąć choć w nocie, że lubiła jeść pająki.

Gdyby była żoną, matką, możebyśmy dziś
nie wiedzieli jej imienia, ale to życie mi-
szemby było Bogu i pożyteczniejsze ludziom.

Horodec. 15 Kwiet. 1855 r.



III.

KSIĄDZ BAKA S. I.

— I stood

Among them, but not of them, in a shroud
Of thoughts which were not theirs thoughts.

Byron. Child. Harold. C. III.

Obcy im wszystkim stałem między niemi
Myśli moje nie były myślami téj ziemi.

Śmiećcie się sobie ze mnie, a ja wam powiem, że Ks. Baka jest jednym z ludzi, których nieumiano ocenić. — Nasz wiek szyderski widział w nim tylko kolące w oczy formy, nie poznał się na myślach dla tego, że je śmieszny strój okrywał i zrobił z narodowego naszego Younga, pełnego fantazij i humoru, straszyciło na kleciwierszów.

Każdy z czytelników nieszczęśliwego poety, nim myśl jego pojął, rozśmiał się z wierszy, nikt nie chciał zastanowić się serio nad duchem jego poezij, tak jak one serio były pisane. — Powtarzam śmiećcie się sobie ze mnie,

jest myśl poetyczna wielka w *Uwagach o śmierci niechybnej*, ta sama myśl którą Young płaczliwie rozprowadził w bladych swoich dumaniach, ta sama, którą poetyczni malarze odmalowali w *Tańcu Śmierci* na ścianach grobowych sklepów w jednym z kościołów w Dublinie i Paryżu. — Pod względem mechanicznego składania wierszy, Ks. Baka bez wątpienia jest bardzo nieszczęśliwy, ta to niezgrabność zgubiła go i pokryła sobą obrazy pełne fantazij i życia, któremi błyszczą wszystkie jego poezje.

Gdyby w innym żył wieku Ks. Baka, byłby z lepszym ukształceniem smakowniej te *Uwagi* ułożył, byłby jednym z najżywszych i najśmielszych poetów.

Dość jest czytać jego współczesnych wierszarzy, żeby się o tém przekonać, blade naśladowania tylko i tłómaczenia otaczają nas w końcu XVIII wieku, jeden Książd Baka pośmiewisko wszystkich, jest istotnie oryginalnym, wszystko co napisał jest jego własne, formą i myślą. — Obor przedmiotu i sposób traktowania go, uważane razem, okazują w nim obojętnego na krytykę, potężnie władującego swoją myślą poetę, który przejęty swoim przedmiotem, wie że nie ma wyrażenia, któreby go śmiesznym mogło

uczynić, bo mówi o rzeczy najsmutniejszej ze wszystkich, której samo wspomnienie, chociażby w arlekińskie przystrojone szaty głęboko w sercu bolesne uczucia zasiewa.

Jest to obojętność człowieka który płacze gorzko idąc za pogrzebem, chociaż nie włożył żałoby.

Trzeba być wielkiem dzieckiem, żeby czytając *Uwagi* Ks. Baki zacząwszy od śmiechu, na nim skończyć, żeby nie uczuć choć słabego odbicia na sercu wielkiej myśli o śmierci. Jest jeszcze jeden rodzaj uczucia, który się rodzić powinien z czytania tych poezij — pogarda świata i życia. — Wymówni a drżący w duchu lirycy, wielkimi i szumnemi wyrazami chcąc nas do tego zachęcić, wzbudzają tylko jakąś czczą niespokojność, Ks. Baka uszczypliwie, szydersko maluje nam nędzę tego świata i śmieje się ze strachu śmierci, bo widzi, czuje — nieśmiertelność za życiem.

Do okrycia śmiechem Ks. Baki, przyłożyli się nowsi dwaj autorowie przedmowy i dedykacji, ci śmieszność tylko mając na myśli, dopięli bardzo dobrze celu rzucenia na całe dziełko śmieszności i skrzywienia jego naturalnej fizjonomij, lecz godziłoż się patrzeć tylko na formy wyśmiać tego, który tak

zuchwale i mężnie sam się na śmiech nie lękając go narażał?

Uważany jako humorysta Ks. Baka jest pierwszym co do czasu; żart wprowadzony niekiedy pod tak poważną i od wieków z pompatycznymi tylko wykrzyknikami dostępowaną myśl, jest energiczną i silną pogardą jenu-szu, dla niewolniczych form krępujących wolny bieg fantazji (1). — Jeśli się nie mylę, głęboko utajona myśl, uczynienia książki popularniejszą, wpływała może na sposób obrobienia przedmiotu, zastanowienie się nad potrzebami umysłów, którym innego rodzaju pokarim byłby za ciężki, uczyniło te uwagi śmiesznymi dzisiaj dla nas. Lecz nie jestże odwieczną prawdą, że chcąc być sprawiedliwym sędzią, trzeba się stawić w wieku pisarza i okolicznościach?

Przelećmy całe to pismo bezstronnym okiem —

Do czytelnika wiersz jest wyjątkiem z całego dziełka, ton w nim panujący poważny, jest odbiciem innych poezji podobnych; i tu jeszcze nie znać oryginalności Ks. Baki —

(1) O fantazji i humorze czytaj. *Vorschule der Aesthetik von Jean. Paul. 1. Band. (Zweite Aufl. Wien. 1815.)* — p. 26. Phantasie p. 141. humor (humour laune).

Smiertelność wszystkich ludzi wszędzie, treść niby i założenie kryje się pod temi kilkudziesiąt wierszami, które się wspaniałym uczynają wykrzyknikiem

Panuj świecie!

Potém jeszcze ogólna następuje uwaga dla wszystkich stanów, powtórne rozwinięcie myśli tą samą już formą, którą ma być traktowana.

Następujący *wiersz do starych* jest pełnym fantazij obrazem. — Widzimy tego staruszka w izbie szczylnie zamkniętej, przy nim stoją flaszeczki z lekarstwami, na kominku błyszczy ogień, przy ogniu piwo się grzeje, koło ławki kij stoi, milczący towarzysz każdego kroku starca, który drży słysząc dzwony pogrzebowe i śpiew konduktu wlokącego się pod oknem. A z za drzwi wyglądają kiedy niekiedy twarze zimne, szyderskie sukcesorów których Ks. Baka tak dobrze maluje:

Raz zapłaczą,
Stokroć skaczą.

Stary umiera i widzimy z jakim pośpiechem już ciało jego od kominka i ławki daleko odnieśli.

Drugi starzec występujący na scenę, jest znajomą nam postacią udającą młodzika —

łsysy pokrył głowę peruką, ślepy zarzucił na nos okulary i stąpa twardo, żeby nie pokazać że mu drżą nogi — chce oszukać śmierć i siebie, chce żyć jeszcze.

Potém widzimy jeszcze schorzałego, zgrzybiałego dziada, który już kaszy nawet zjeść nie może, kwasny, ponury, siedzi i stęka, ręce jego już nawet much opędzić nie mają siły — I ten umiera, i kładną go w grób jak w kolebkę, i zawijają go w suknie jak w pieluszki i już

Spi cicho!

Lecz oto scena się zmienia — tam z dala widać młodzieńca w sile wieku, rumiany, zdrów, wesoły jak kwiatek rosą jeszcze okryty, idzie, bieży wesoło — i pada.

I widzimy drugiego w tańcu, słysząc śpiewy, wesołe żarty, resztę odkładają na jutro, żegnają się, wychodzą — i on idzie, a na progu śmierć z szyderskim uśmiechem ściska go i porywa.

Potém okryta suknią kobieta śmierć (myślą godną poety) gra z dziećmi w ślepą babkę, wszyscy się łąpią, wszyscy pozawiazywali oczy, ona jedna widzi — ona złapie wszystkich.

Nareście widzimy jeszcze jedną postać, je-

dnego z młodych bożków ziemi — przed nim stół zastawiony owocami, on wstaje z łąb-dziech poduszek poźną godziną, ubiera się, stroi w drogie i kosztowne szaty, ubiera się na śmierć, i już widzimy trumnę i szczury które się do niej dogryzają.

Potém słyszym wesele — oto pan młody i panna młoda, wcielone rokoszy nadzieje, widzicie ich uśmiech i tę myśl szczęścia która jak gwiazda świeci nad ich głowami — widzicie — oto z uśmiechu spadły łyzy gorzkie i gwiazda zagaśła, i weselna sala pokryła się kirem, i muzyka weselna gra pieśń śmierci nad grobem!

Kończy się ten rozdział pięknie wyrażoną myślą:

Nie dopędzisz wczora cugiem,

Nie wyorzesz jutra pługiem.

Minęło,

Zniknęło

Bez zwrotu

Powrotu! —

I ciemno — ciemno znowu, aż oto rozjaśnia się, i widzimy bogacza — w koło niego skarbee, pałace, złoto się świeci, miękkie futra się ścielą — widzimy go jak mija kościół pogardliwie patrząc na tych którzy się biedni modlą do Boga — Złoto moim Bogiem! powiedział i poszedł — Poszedł, lecz uczuł że

schorzałego ciała nie nasyciło złoto — Uczuł że pozłocony po wierzchu, był jednak jak wszyscy ludzie tylko naczyniem glinianém.

Patrzcie z jaką pogardą ten bogacz spogląda z wysokości swoich skarbów na biednych, jak siebie wysoko., świat mało ceni — lecz

W kieskach złoto

W sercu błoto.

te dwa wiersze mogłyby być przysłowiem.

Oto jeszcze nasz bogacz występuje na uczenie, widzimy jego paradne cugi w pozłocistych rzędach przed domem na popis postawione, w pałacu gra kapela i z powagą z jakąby się do najważniejszego w życiu czynu przybierać można, oni tańczą — menueta. Tam dalej za stołem grają w karty, słyszym ich przekleństwa i przysięgi — a z okna przez wazon z kwiatów śmierć zagląda z uśmiechem.

Otoż i dla możnych panów uwaga, dla tych, co rządzą ludzmi — im nie śmierć, ale Boga przypomina poeta.

Przezeń orły i motyle

Ile sił da — mogą tyle —

Nie jestże to piękna myśl i dobrze ubrana? A ta druga będzie się wam wieczni śmiesz-kowie, także śmiesznią wydawać, kiedy się do panów odzywa:

Wielcy! — wyższe myślcie rzeczy!

Pozwala on tym którym nędba do ziemi przyciska, mniej często podnosić oczy do nieba, myśl do Boga — ale wyższych chce widzieć wyżej i duszą od drugich. — Pokazuje im śmierć nakoniec leącą, a za nią długi jej ogon się wlecze i zmiata, wywraca trony, kraje, światy!

Z kolei przed obraz śmierci Ks. Baka wprowadza kobiety, które świat wedle jego wyrazów oprawia za życia w złote ramy i wielbi — im pokazuje on naprzód starość i siwiznę, zapomnienie, najsroźszą z rzeczy ludzkich, głuche zapomnienie po zgonie i śmierć która się tarza w podartych szatach i strojach, które zębami rozrywa i szarpie, a nakoniec trumnę, a w niej jak kwiat podcięty, bladą twarz zwiędłej dziewczynki.

Wnet nagłą zmianą bohater, rycerz wybiega, słysząc go z daleka po chrzeście zbroi.

Tys przybrany w pancerz spiże,
Twój bucyszał uszmi strzyże.

leci zapalczywy, blednie, lęka się — cofa —

Czemuż się orężem od tego strachu nie bronisz? woła poeta — strzelaj i zabij śmierć!

Wielki rycerz pobladł z kolei na widok grobu, lecz się nie bronił. Dla tém mocniej uderzającej sprzeczności, poeta wystawia bohaterów Aleksandra i Xerxesa umierających,

wystawia wielką uroczystość rycerską, słyszym strzały, huk mozdierzów, bicie w kotły, trąb dźwięki, widzimy błyszczące stroje — cały przybór dumnego jakiegoś obrzędu, za którego długim tryumfalnym szeregiem, zawsze z uśmiechającą się szyderską miną, mileżącą śmierć dybie.

Duchownym Ks. Baka prawi o poprawie obyczajów, lecz nie jest to sucha gadanina, ale pełny energii tysiącotwarzy obrazek. — Wszystko co w życiu Księdza może być powodem zgorszenia wyrzucił im na oczy, skąpstwo, pijaństwo, kartowanie, skoki i tany.

Po Księżach dworacy następują. — Łaska pańska którą *dowcipny* Krasiecki porównał do pogód jesiennych, tu się pod kilką postaciami zjawia, raz jest to trzaska, która leci i nierozważnego biegnącego na jej spotkanie, w głowę uderza, drugi raz jest to góra złota zmieniająca się w potłuczone czerepy — nakoniec widzimy ją jak prowadzi wystrojonego młokosa z domu na dwór pański, a nazad oklep go wyprowadza. — Charakter dworaka dobrze schwyciony, mięsza się zaraz i wikła w otaczającą go zepsutą młodzieży towarzysztwo, oto już lata, szepece, roznosi plotki, wkręca się gdzie go nie proszą, radzi, pochlebia; nadzieje zawracają mu głowę, a

w tén wiatr zawiął z innéj strony i wszystko poleciało — został tylko grób a na nim motyka i łopata.

Mało znaczącym powtórzeniem poprzednich uwag jest następna Polakom i Litwinom, których tu ostatnich, maluje junakami — lecz godna zastanowienia rozmowa z cudzoziemcami, jedna z najoryginalniejszych.

Witam gości w naszym kraju,
Z wami chętnie — jakby w raju
Życ chcemy.

— Jakże się wam ten kraj podoba, panie cudzoziemcze.

— Ach! śliczny kraj! piękny, wesoło w nim, swobodnie, zielono — ale coś kiedy w Marcu tak wiele umiera, w Styczniu tak niezdrowe powietrze, w Lutym taka śmiertelność, w Listopadzie tyle pogrzebów! Śliczny kraj, co za szkoda że w nim umierają.

Tak chorem powtarzają Włochy, wymuszkane Francuzy i tłuste Niemcy!

Przemówienie do dyssydentów poważniejsze — odznacza się w niém te kilka wierszy:

Jedenś Boże, jeden chrzest, ofiara
Jedna dusza, jedna też i wiara
Musí być od ciebie! —

Następują poczciwi Wileńscy mieszczanie,

a naprzód opisanie samego miasta, które chociaż zapewne służyć miało za ogólne opisanie Wilna, w którym żył Autor —

Miasta zdobią kamienice,
Rynki, gmachy i ulice
Imłary,
Koszary. . . .
Góry biorą niebotyczne,
Wieżę, wały, zamki śliczne —

Pogarda panów dla mieszczan oburza autora
i woła:

Jedna dla nich śmierć cudowna,
Która gburów z panem równa.

Potém pokazuje im śmierć która oblatuje sklepy, kramy, zagląda do ratusza, tańcuje w szynku przy głosie rozbitych skrzypiec, i kładnie się spać pod ławą z pijakiem.

Za mieszczanami kmięcie idą — dla nich groźb nie pisał, lecz pociechę Ks. Baka.

Kmiotek stęka
Że tu męka,
Lecz przy zgonie,
Nie utonie
W łez rzekach. —

Tak, — lekka jest śmierć nieszczęśliwego, bo nie ma czego żałować na świecie. Chłopek jak mrówka pracowity, pisze dalej poeta, lekko zaśnie na wicki.

Przebiegłszy wszystkie stany, zwraca się

jeszcze poeta, żeby przemówić do téj wielkiej rzeszy pijaków, która dołem i górą rozsypała jest po świecie. — Obrzydliwy stan zezwierzczenia do którego przyprowadzają człowieka zwodnicze napoje, wybornie odmalowany.

Idzie opilec

Baryła
Otyła.

Z gębą szeroko otwartą, z oczyma wyszczyrzonemi mokrémi, których od szklanek i kuflów nie odwraca, pije — pije —

— Za małe szklanki! woła i wnet zamaszysto rozbija je o podłogę, większych! więcej! — pije i ściska antał — To mój pan! wykrzykuje w uniesieniu, niech piskłéta kieliszeczkami piją — ja z beczki do dna z lagrem — i pije znowu, a oczy mrużą się powoli, gęba bezsilna nie umie się zamknąć — legnął i zasnął.

— Patrz! patrz! choć zyzem, woła poeta — patrz oto na twoim brzuchu śmierć leży i dmucha ci w usta, nie zlekła się krzyku i najeżonej czupryny — nie odpędzisz jej —

Nie wymodlisz, czołem bijąc.

Wstań i uciekaj od zdrady — zamknij usta, ona rośnie na chmielu i dojrzewa na jego pączkach! —

W następnych poczkach ogólniejszych, już tylko pojedyncze obrazki godne są wspomnienia, taki jest ten w którym ją pieszczącą, uśmiechającą się, zdradliwą pokazuje —

Śmierć matula
Nas przytula,
Głaszcze, wabi,
Nim zadłabi.

I drugi w którym Horacjuszową myśl —
mors aquo pulsat pede etc. tak wyraził —

Jednym ciągiem,
Kosy drągiem
Sięga pana
I Iwana.

W ogólności w ostatnim wierszu śmierć pokazuje się metamorfozowana w licznych coraz odmiennych postaciach. Naprzód, widzimy ją siedzącą na nosie u dumnego człowieka — potem ściska już kogoś drugiego, aż mu z oczu łzy płyną, trzeciego bije z miłości tak serdecznie że mu gruchocze kości, czwartego zwodzi uśmiechem i głaskaniem, piątemu wsuwa się cała w usta i wpoprzek w gardło siada, szóstego wracającego z bankietu, na drodze łapie w przesmyku, siódmemu przerywa smaczny kufel wina i głębie stula — ósmemu pokazuje się ubrana po myśliwsku i szepcze go jak zającą, ostatniemu niewidzianą jak komar na ucho siada.

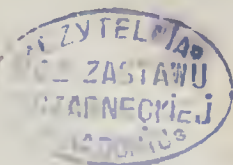
Rhythmus de Vanitate Mundi, po polsku i łacinie zakończający ten zbiór poezij, pokazuje daleko, wysoko, jasne niebo i Boga — szydząc gorzko z nędznego świata, którego Ks. Baka do worka plewy porównywa; kończy zaś tym pełnym filozofij wierszem.

Mundus — nuga nugarum !

Poezje Ks. Baki, wyszły raz pierwszy pod tytułem :

Uwagi o śmierci niechybnej wszystkim polspolitej, wierszem wyrażone przez Ks. Bakę S. J. Professora Poetyki, asumptem JMC Pana Xawerego Stefaniego, Obywatela miasta J. K. M. Wilna do druku na pożytek duchowny podane r. 1766 w Wilnie.

Pierwszego wydania, nawet w Wilnie dziś już dostać trudno, mamy za to dwa jeszcze: r. 1807 nakładem Amatorów w Wilnie i roku 1828 w Warszawie oba (8vo) z dodaniem przemowy R. Korsaka i Dedykacji sławnemu Burmistrzowi P. Dubińskiemu, który jak wiemy wydał zbiór praw i przywilejów miasta Wilna.



IV.

PRZEGŁADZKA PO BIBLIOTECIE.

Na półkach leżą książki, a w nich zabalsamowane dusze pisarzy.

Anonim.

Chodźcie za mną, chodźcie i drzwi zamknijemy za sobą; niech się teraz świat kłóci, śmieje, płacze, nas tu nie dojdą swary, szyderstwa i łzy, utoniem w przeszłości — oto macie krzesła wygodne, stół do pisania, mapy, dla starych dzieci obrazki, dla ludzi książki, rękopisma, pamiątki wszystkich wieków i krajów, prawie wszystko to co się zostaje z wielkiego szumu wieków. — Sublimat przeszłości — treść życia milionów ludzi.

Nad nami wznoszą się dwa piętra książek — u dołu otaczają nas piękne kolumny milczące strażniki tych skarbów — naprzeciw przez okna widać drzewa — ogród i świat w oddaleniu.

Widzicie te dwie pozłocisto bronzowane szafy, ozdobione medalami Cesarzów Rzymskich, na których aniołki biją monetę — te szafy były własnością króla filozofa Leszczyńskiego — w nich są kruszcowe wieków pamiętki, medale, pieniądze. — Tam wyżej na piętrze w téj szafie założonej cienkimi in folio znajdziecie wszystkie partytury Mozarta, Oratorja Hajdena, nowsze opery Webera, Aubera, Boyeldieu, Meyerbera, Spohra, kwartety Bethovena biédnego; jedném słowem, całe morze hieroglifów harmonij, które tylko czekają, żeby je kto ze snu przebudził.

Tu z boku te straszne in folia okazują nam, że w téj stronie spoczywają prace historyczne, i cała theologia polemiczna i wszystkie najrzadsze wydania biblij nasze i zagraniczne.

Za niémi mniejsze formata świeższe okładki — są to podróże, pod niemi szereg atlantów — raczycie uważać że zaczawszy od *Historij Podróży Laharpa*, od owych poselstw do *Chin* i *Siamu*, relacij Missionarskich i t. d. aż do *Pallusa*, *Humboldta*, *Basil-Halla* i *Denona* wszystko się tu znajdzie czegobyście żądać mogli.

Ta druga szafa usłana jest historją naturalną, możecie w niéj oglądać piękne wy-

danie dzieł Buffona, a jeśli chcecie obrazków
 życzę wziąć w ręce *Le Vaillante* Historję
 ptaków Afrykańskich i papug, flory — Hi-
 storję motylów, a dla osobliwości i pojęcia
 wiele to Pan Bóg milionów stworzeń posa-
 dził na ziemi, spójrzcie tylko w *Histoire des
 punaises*, w której możecie nie męcząc się
 czytaniem, napatrzeć się ich do woli.

Daléj Poezje, Teatr, Romance, wszystko co
 chcecie do wyborn — oto Shakespear, Goethe,
 Schiller, Klopstock, Voltaire, Rousseau, Pope,
 Montesquieu, Tasso, Ariosto, Dante. — Kto
 z was może czytać Danta w oryginale, niech
 się temu wydaniu charakterystycznemu Fran-
 ciszka Sansovino przypatrzy. — Wyszło ono
 w Wenecji 1564. — Spójrzcie na ulaurowa-
 nego Danta na pierwszój stronie, a jeśli czy-
 tać nie chcecie, zobaczcie choć holesztychy
 przy każdéj księdze.

Teraz proszę z sobą na górę, tam są ła-
 cińskie i polskie skarby — Widzicie te grube
 grzbiety pargaminowe — są to kroniki i wiel-
 kie dawne edycje klasyków, edycje Elzevi-
 rów, Aldów — Osobno znajdziecie rękopisma
 i inkunabula.

Pozwólcie mi sobie niektóre rzadsze książki
 pokazać — Oto jest jedno z ciekawych pism
 Matysa Strykowskiego.

*Goniec Cnothy do pr wowych Sl chciczow,
przez M thysa Strykowski  uczyniony —
Cracoviae 1574. u Mac. W rzbity.*

Jestto historia nasza wierszem wy  zona,
bibliografowie nasi oddawna t  ksi zk  zna-
j  — lecz nikt z niej jeszcze wy atk w nie
zrobi , pozw lmy sobie przeczyta , ten ka-
walek, w kt rym autor o swoim dzie ku
przemawia :

Czytelniku mi y
Nie gard  chudey si y,
Bo  ja tu sam drog 
Toruj  jak mog ,
 aden wprz d nie chodzi 
Ani na to godzi 
By s usznie wywodzi ,
 k d si  Litwin rodzi ,
 k d ten nar d mocny
Wszed  w ten kraj p nocny
 aden nie dba  o ty
Litewskie klejnoty,
Kt ry przez cne poty,
Przyszli na cel cnoty,
Le a y w ciemno ci,
Cnych ksi   at dzie no ci
Litewskie godno ci
Dla pi ra g nno ci. —
Jam nie s  powinno ci
Lecz z szczyrej mi o ci
Rycerskiej hie lo ci,
Na o y  pilno ci
By tych m  nych go ci
Litewskich wo o ci
Wywi d  ku jasno ci. —

Sam swój wiersz kieruję
 Nie z innych smakuje
 S swym się popisuje
 Swym mozgiem pracuję
 Dostatkniej zgotuję,
 Gdy wdzięczność uczuję.

Uczniłby ją był w grobie przynajmniej pocziwy Matys, gdyby był nam dokładnie źródła cytował, w tej książce jednak uważałem odniesienie się do Kroniki Ruskiej Mnicha Dymitra, której zapewne i do historii swojej używał. Lecz co dziwniejsza cytowany w jedném mićjscu Petrarcha! więc nasz Matys go czytał i *per consequens* musiał umieć po włosku. Godne są uwagi piękne holcsztychy rycerzy w tej książeczce. Osobliwie ten który następuje na całej stronie po nagrobku Hrehorego Chokiewiczza Wdy Wilensk. Rysunek jest czysty i wprawny — Rycerz brodaty z bułatem w ręku we zbroi, z hełmem ozdobnym w strusie pióra, ręką prawą pod bok się trzyma — twarz ma poważną — takiego samego widzieć można na łacińskiej Kronice Gwagnina, tego zdrajcę, który Matysowi naszemu wydał owoc prac długich.

Przy Gońcu cioty zwykle dołączony bywa, *Opis wyjazdu* do Krakowa Henryka Walczjusza przez tegoż Matysa Strykowiusa *Praeconidesa* uczyniony i tamże gdzie i poprzec-

dzająca książka drukowany (4to typ. goth. D. 4.) —

Teraz pokażę wam jeden z rzadkich Krakowskich *incunabulów*.

— *Vita beatissimi Stanislai Cracoviensis Episcopi, nec non legende, Sanctorum Polonie, Hungarie, Bohemie, Moravie, Prussie et Slesie patronum. In lombardica historia non contente.* (4to typ. goth.) Holcsztych pod tytułem wyobraża wskreszenie Piotrowina, jest zaś szkaradny — gorszy jeszcze drugi na odwrócie — Druk gocki podobny do tego jaki jest na *Catholiconie* Fausta i Schöyffera (1460), też same skrócenia Na końcu —

Finit feliciter vita beatissimi Stanislai Cracoviensis Episcopi et Polior. Prothomartyris mirifici. Edita per egregium virum Dnum Joannem Dlugsch Canonicum Cathedralis Ecclesiae Cracovien. Anno Dni 1465 et alie legende sctorum polonie, hungarie, bohemie, moravie, prussie et slesie patronum. Impressum Cracovie in edibus providi viri Joannis Haller, Anno Partus Virginalis Millesimo quingentesimo undecimo, die Mercurii vegesima quarta mensis Decembris (Rcjestru k. 4.)

Prócz tych traktatów o S. Stanisławie,

zawierają się tu — Legenda i życie S. Wojciecha Bisk. i męczennika, S. Florjana, S. Wacława, Zygmunta Króla, S. Antoniego Spowiedn., S. Władysława Króla, SS. Zoc-rarda i Benedykta, o Marij Suieźnej, o Przemienieniu Pańskim, o S. Stefanie Królu i patronie Węgierskim, o S. Gerardzie, o S. Dymitrze, S. Emeryku, S. Jadwidze, o przeniesieniu S. Florjana męczennika i wojownika.

Finis, de qua Deus sit benedictus.

Oto między łacińskimi w tych bibulastych okładkach bardzo ciekawa książeczka — *Index librorum prohibitorum Sanctissimi Domini nostri Benedicti XIV. Pontificis Max. jussu recognitus atq. editus. Ed. postrema ceteris orn. ior cum additam. Romae MDCCLXIV. Ex typogr. Rev. Camerae Apostolicae cum Sum. Pontif. privilegio* (8vo 252 p.) — Dla wiadomości waszój wy-czyta'm wam ztąd naszych zakazanych pisarzy.

Amplia (Joannes) Polonus 1. Cl. App. Ind. Trid. (p. 50.)

Ascesis spiritualis pro confraternitate S. Joseph edita a Confratribus dictae Confraternitatis in Eccl. Varsaviensi Carmelitarum discalceatorum congregatis. Decr, 3 Jun. 1671. (p. 54.)

Burcardi (Franciscus) Superintendens Vilmensis — 1. Cl. Ind. Trid. (p. 69.)

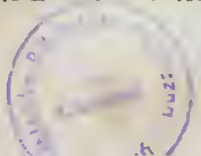
Clodinio, ovvero *Klodzinsky Girolamo*. Esercitii Spirituali, da farsi nelle cinque Novenne ch. Deer. 30. Jun. 1678. (p. 79.)

Herbinus Joannes Religiosae Kijovienses Cryptae, sive Kijovia subterranea. Deer. 18 Maii 1677. (p. 119.) — To dzieło wyszło w Jenie (1675) *Braun* p. 212. Herbinus wysłany od Przecora Bazyljańskiego z Wilna do Kijowa, tam opis ten ułożył.

Hilarius Henricus, Philippi Cyprii Chronicon Ecclesiae Graecae, cum Commentariis et notis. Accessit in fine Appendix Historiae Patriarchicae. Deer. 1. Apr. 1693. (p. 120.) W tym dziełku znajduje się list sławnego Patriarchy Meleciusza do Zygmunta III. z czasów Unii.

Keplerus Joannes, Epitomae Astronomiae Copernicanae. Deer. 10. Maij 1619. (p. 130)

Krantz. Wandalia (donec expurgetur. App. Ind. Trid. (p. 132.) — Wandalia Krantza jest rzadkością dzisiaj i słusznie do inkunabulów liczyć się powinna — Kładę ją tutaj dla tego iż w części i dzieje polsko-litewskie opisuje — tytuł jej następuy: *Wandalia Alberti Krantz. Coloniae impressa*. MDXVIII. (1519) fol. na koncu. *Impressum Coloniae An. MDXVIII.*



Mense Aprili, Registrum totius operis Wandaliae: a. b. c. d. e. f. g. h. i. k. l. m. n. o. p. q. r. s. t. v. omnes sunt terniones, exceptis a. t. v. qui sunt quaterniones. A. B. C. D. E. F. G. H. I. K. L. M. N. O. P. Q. R. S. T. omnes sunt terniones. Johannes Soter alias Heil ex Bentzheim et Socii impresserunt. W Przedmowie Sotera datowanėj ex Colonia Agryppina III Calend. Majas. MDXVIII. wyrażono że księga ta odbita jest — typis aeneis.

Lasitki (Lasiecki) Joannes, de Russorum, Monovitarum et Tartarorum religione, sacrificiis nuptiarum et funerum ritu e diversis scriptoribus. Decr. 7. Aug. 1603. (p. 135).

(Lettera di Antonio Possevino, nella quale si sforza di provare, che i Libri, che si leggono sotto il nome di Dionigi Areopagito, siano di quello che fu discepolo di S. Paolo, con la refutazione delle sue ragioni. Decr. 16 Martii 1621. p. 136.)

Lubieniecius Stanislaus, Historia Reformationis Polonicae, in qua tum Reformatorum, tum Antitrinitariorum origo et progressus in Polonia narrantur. Decr. 27 Maii. 1687. (p. 143.)

Markiewicz Joannes, Scandalum expurgatum contra Instit. Soc. Jesu. Decr. 24. Nov. 1655.

2. Speculum zelis a pessimis ad exemplar maliti contra sacros Canones et jurisdictionem Ecclesiasticam clucubratum (d. d.)

3. Veritas bonae vitae ex occasione occupatae haereditatis Jaroslaviensis, Partribus Societatis demonstrata (DCCR. 4 Decebr. 1674.)

4. Summus pontifex Innocentius X. de duplici Institutione Societatis, ejusque constitutionib. et declarationib. interrogatus. (d. d. (p. 147).)

Ten sam Markiewicz wydał w Paryżu pisemko — *Decima Cleri Secularis in Regno Pol. defensa contra exemptiones Patrum Soc. Jesu per Joan. Markiewicz J. U. D. Canonicum Posnaniensem. Parisiis. M. DC-XLIV. Cum approb.* (4to. VIII. et 80 p.)

Niesielski Adamus. Speculum zeli pro clero in materia decimarum adversus polonam Societatem Jesu. DCCR. 4. Jul. 1661. (p. 159.)

De Pelhrzimow seu Pelgizimow (Nicolaus.) Thaborensium Pseudo-Episcopus. 1. Cl. Ind. Trid. (p. 167.)

Radivil seu Radzivil. (Nicolaus) Palatinus Vilnensis. 1. Cl. Ind. Trid. Nie wiemy coby to było za pismo Radziwiłła, zgadujemy jednak że to są chyba listy do Lippomana Legata. (p. 176.)

Reineccii (Reineri) Chronica Slavorum seu

Annales Helmolli, addita est *Historia de vita Henrici IV. et Gregorii VII.* Decr. 4. Febr. 1627. (p. 179.)

Sarnicius Stanislaus. 1. Cl. App. Ind. Trid. (p. 189.) Są to *Annales* jego wydane 1537 roku fol.

Da Siena fra Tomaso (Bernardinus Ochimus) *Prediche* App. Ind. Trid. (p. 195.)

Thomas Smith *Miscellanea.* Decr. 29 Maii 1690. 2do. *Vitae quorundam eruditissimorum illustrium virorum.* Decr. 4. Mart. 1709. 3tio de *Graecae Ecclesiae hodierno statu.* Decr. 7 Febr. 1718. (p. 197.)

Miscellanea jedyne z pism Smitha nam znajome wyszło w Londynie — (*authore Thoma Smith Eccle. Anglicanae Presbytero. Londini. Impensis. Sam. Smith. ad Insigne principis in Caemeterio D. Pauli. MDCLXXVI.* (1636) 8vo 198 p.) Tu się znajdzie opis Unii 1596 r. (p. 56. 37) i Unia obronna r. 1599. (p. 58—59.)

Znajdujemy także na Indeksach pisma

Marcina Polaka (*Martinus Polonus*) który był Penitencjarjuszem Papieży Jana XXI i Mikołaja III. mianowany Arcybiskupem Gnieźnieńskim, umarł nieobjąwszy go w Bolonii. Wiodły o niego spór zakony Benedyktynów,

Cystersów i Dominikanów chcąc go sobie przywłaszczyć.

Znajduje się zaś na Indeksach z powodu historii którą o Papessie Joannie pierwszy zdaniem Bellarmina położył. Baronius jednak wynalazcą téj historii mianuje Marjana Scotta (wieku XI.)

Po większych Bibliotekach wiele jest rękopismów Roczników, Marcina Polaka, Fryd. Spanheim za swego czasu (XVII) widział ich osiem w Wiedniu, z których dwa na pergaminie, dwa w Lejdzie, jeden in 4to pargaminowy, drugi in folio, prócz tego cytuje pargaminowy Jakóba Chifflet i jeden angielski nie pisze gdzie. Najdawniejsze zaś wydania są 1574 roku w Anvers przez Plantin zrobione, Edycja z notami Suffrid. Petr., Edycja Bazylejska 1599 z Kroniką Marianusa (Scotta) staraniem Herolda i roku 1616 w Colonii, Jana Fahrycego Cezara Kanonika Gladbach. W téj ostatniej omyłką nazwany jest *Archiepiscopus Consentinus*.

Ktoby się kiedy mógł spodziewać, żeby tytuł, ta niewinna roślina wyspy Tabago, mogła być powodem do wielu swarów i kłótni? Wiemy już o książce króla Angielskiego przeciw Tytuniu, i o *Antiniso Kapnos* Jezuitów i o całej téj sprawie przed Zygmunta III.

dla marnego dymu wyprowadzonéj. Wówczas używanie tytoniu było jeszcze prawie nas nie doszło — w ogrodzie Władysława IV. za osobliwość pokazywano *stawne ziele Tabaka*, pisze Jarzembski w opisie Warszawy, lecz oto książeczka dosyć dawna o tabace i tytoniu.

Nauka jako o dobrym także o złym używaniu proszku Tabakowego, przy tym śart piękny o tabace dymnej. J. S. (4to). Holcsztych nieźle rysowany wystawia salę w głębi okna mającą, osłonioną z boku draperją. Za stołem okrągłym siedzi trzech biesiadników, jeden z hiszpańska ubrany pije z dużej szklownicy, drugi z turecka w zawoju, tytoni pali, trzeci nasypuje sobie na rękę tabakę do zażycia. Na przedzie podczaszy wąsacz nalewa szklankę, drugi służalec gra na dudzie, mała tabakę zażywa, stoi oparty jakiś starzec i Bachus siedzi na beczce z zieleń tabakowem w ręku, łatwem do poznania. Długie role tabaki leżą na przodzie, stoją dzbany i flaszki — na stole naczynia różne. Wyszło to pismo roku MDCL. (in 4to typ. goth. 20 str. i 4 nieliczb.)

Pokazuje się z tego świstka, że w owym czasie zażywanie tabaki wchodziło w powszechność, bo (str. 15) już i o kobietach

zażywających jęj wspomina. Pisane z erudycją częstokroć niepotrzebnie szafowaną — Nagrobki i żart o tabace dymnej, który miał być *piękny* według tytułu, wcale jednak się nie udały. Król Stanisław Leszczyński palił tytmń, i jak wiadomo tylko co w nim go nieotrulo.

Odtąd jakże się to tytmnie, tabaki rozmnożyły, pogatunkowały! Któż nie zna teraz rokosznego zapachu Hawańskich Cygarów, Amerykańskiego tytmniu, lub wonnego dymu liści Latakie? Teraz dym fajki lub cygara jest towarzyszem każdego próźniaka, poety — na nim podnoszą się w górę dzikie poobiednie marzenia, fantastyczne wieczorne dumania. — Dym fajki jeśli dziś nie jest tak trywialnym, jakby być mógł, winien to Hoffmannowi, który go upoetyzował — możnaż sobie wyobrazić tego patriarchę dziwaków inaczej, jak w atmosferze dymu tytmniowego nad bohlem punczu, z zielonym kielichem reńskiego wina?

Ta książka, są to tak zwane *Parallele* Krzysztofa Warszewickiego, noszą one tytuł.

Speculum analogie et metamorphosis aliquot magnatum, hoc est: Caesarum, regum et maximorum principum, unius et ejusdem partim generis et nominis, partim

etiam Imperii ac dominationis, Vitarum Parallelarum Libri duo, in quibus regnorum et imperiorum subitae mutationes, rerum ac temporum vicissitudines etc. recensentur, auctore Christophoro Varsevicio C. C. Quod quorum quoque contineat, pagella post prefationem monstrabit. Francoforti apud Wolfgangum Richterum, Sumptibus Nicolai Steinii MDC.VIII (1608) 8vo. 432 pp. Przypisana ta książka Rudolfowi II. Cesarzowi (dedyk. 6½ str.) — Są tu życia i porównania dwóch Darjuszów (zawsze pierwszego i ostatniego bierze autor) dwóch Augustów, dwóch Konstantynów, dwóch Karolów Martellów, dwóch Berengarjuszów — a w ks. IIgiej dwóch Baldwinów, dwóch Jagiełłów (Władysława i Zygmunta Augusta) i dwóch Franciszk. Sforzia.

Swojskie rzeczy najobszerniej traktuje Warszawicki. (Życie Wład. Jagiełły od 123 do 294 Augusta od tej do 408 Paralella do 412.) Książka pisana wymównie, z krytyką nie dziejów, ale czynności osób.

Zygmunta Augusta bardzo ostro traktuje Warszawicki, miał mu za złe tolerancję jak widać, elekeje które po nim i *indirecte* z jego przyczyny nastąpiły, nakoniec rozwiązość obyczajów. Dobry jest opis i *Epitome* życia

Władysław Jagiełły, tu i ówdzie rozsiane są sentencje i deklamacje szczęściem nie bardzo długie. To pismo wszakże do śmielszych pomysłów wieku poczytać można, bo inni gdy Zygmunt III. odrośl Jagiełłów, był jeszcze na tronie, nie wazyli się, może to samo myśląc, śmiecie myśli swojej napisać.

Paralella cała jest na korzyść Władysława Jagiełły, August całkiem w niej poniżony, u potomności jednak to zdanie na sąd jej wpływać nie może. — Słaby Zygmunt August polityowanie wzbudza — Jagiełło oburzenie, gdy wspomnim na zdradzenie i zamordowanie Kiejstuta, na niedochowanie wiary Witołdowi, na charakter jego popędliwy i wrzący.

Na naszym egzemplarzu, czytamy taki na pierwszej karcie dopisek — *Editio libri rari et in Polonia prohibiti. C. L. Vogtio ignota, prodiit primum Cracoviae 1605 fol.* — Załuski może przez omyłkę daje Frankfortskiej edycij rok 1606.

Śmiały sąd Warszawickiego o Zygmuncie Augustcie, powszechnie obudził oburzenie, poeta Stan. Grochowski, ujął się za poniżoną sławę ostatniego Jagiełły. — Wydał on z tego powodu wiersz pod tytułem:

August wzbudzony Stan. Gr. (w Krakowie

w Druk. Jákuha Sybeneycherá R. Pansk. 1603. 4to. typ. goth. 26 kart, dedyk. Zygmuntowi III. Holesztych pod tytułem wyobraża Augusta idącego z Walentym Dębinskim Kanclerzem Koronnym — noc, gwiazdy, miasto w oddali. To wydanie osobne zdaje się być nieznanom naszym Bibliografom — znajduję na moim ekzemplarze dopisek zajmujący ręką autora — „*Excellentissimi ingenii viro D. Simoni Simonidei amicissimo suo autor testificandae observantiae et antiqui amoris causa dedit.*“) W całych pismach Grochowskiego, wiersz ten zajmuje od str. 46g do 520. Tytuł cokolwiek przedłużony. — (*August Jagiello wzbudzony przeciwko Paralellom łacińskim, osoby tegoż ś. pamięci Pana dotkliwym, na usilne żądanie i prośbę niektórych Senatorów napisany i do druku podany w Krak. r. 1608.*) Dedyk. Andrzejowi Boboli. Wiersz ten obejmujący pokrótce dzieje panowania Zygmunta Augusta, na swój czas jest bardzo dobry, równie co do stylu, jak co do myśli, w które jednak nie bardzo jest bogaty.

Teraz zobaczymy jeszcze kilka pism żartobliwych — Oto jest naprzód :

Synod Klechów Podgórskich, dla nieustawiczności porządku między niemi w Krakowie złożony i uczyniony R. 1607. 10 Januarii.

Jeśli chowasz robotnika,
 Niechże z ciebie ma płatnika
 Niezwłócznego, bo on sobie
 Zdrowie trapi, robiąc tobie,
 By nie żądał pomsty na cie,
 Przed Bogiem, obacz się Bracie.

(b. m. dr. goc. 4to wiersz.)

Uciski Klechów (dziadów kościelnych) przez plebanów były powodem do tego pisma pół żartem pół doprawdy pisanego. Zwołanie na Synod jest po łacinie, Statuta Synodalne prozą po polsku, reszta nędznemi wierszami. Była może chęć w pisarzu, aby to pismo, plebanów do lepszego obchodzenia się z klechami nakłoniło. Istotnie ciekawe są Statuta Synodu, lecz narady poprzednicze długie i nudne, dla niektórych może będą zajmujące, szczegóły praktyk czarnoksięskich, o których się tu dowiedzieć można.

Nie wiem czy nie była to satyra jakiego zjazdu i wydanych na nim Statutów.

Otoż i drugie pismo w tym sposobie.

Peregrinacia Dziadowska zwłaszcza owych Jármarczników trzęsigłowów: w który sposób zwykli bywać na miejscach świętych. Nie tykając tych, którzy sprawiedliwym karaniem Bożym nawiedzeni, przy kościelech abo w szpitalach siedzą.

Czyńcie sobie dobre przyiaciele,
 Ze złych groszów, których bardzo wiele:
 Iż gdy dobrej monety nie stanie,
 Przynajmniej zła u Dziadów zostanie.

Januarius Sowizralius. Annus Dominus
 831954730.

(R. Pańsk. 1614. 4to. dr. goe. nielezb. kar.)

Zdaje się że w tém piśmie prócz igraszki i odmalowania sprośnych obyczajów dziadowskich, żadnego innego celu nie było. Satyrę na wyższych być nie może, bo nadto jest szczegółowe i bez żadnych przystosowań. Osobliwsze są imiona rozprawiających tu Dziadów — Chełpa, Lagus, Wyrwant, Toboła, Dygubey z Lupa, Kałwica Baba, Marek, Bałabasz, Kubrak, Choroba, Chrapek, Kula, Klimek, Labaj, Chmielarz, Drabant, Kuźma, Lech, Stypuła, Kropiński, Sztyła, Wilkotek, Lepiasz, Korman, Słepy Dziad, Pędziwiatr, Jaćko, Zwoniczka stara, Chroma Baba, Guza Baba, Labajka, Latawica Stepa, Zając dziad — Zakończają dwa następne wiersze:

Tę książkę ofiaruję za kolendę dziadom.

Com pisał, to prawdziwie, bom sam tego świadom.

Otoż jak który z naszych romanso-pisarzy, wsadzi w swój obraz działającego Dziada lub Babę, a recenzent powie, że to jest naśla-

dowanie Walter-Scotta lub Banima (1) a nie rzecz z obyczajów naszych wzięta, odesłać można P. Recenzenta żeby przeczytał ten stary obraz dziadowskiego życia, w którym wszystkie ich zatrudnienia i sigle znajdzie, usprawiedliwiające nżycie podobnej figury w romansie — Jeżeli P. Recenzent zechce co czytać, bo oni zwykle i tego nie czytają o czém piszą.

Po *Peregrinacji* następuje osobliwszego pomysłu dziełko, trochę brudno napisane, ale jak na siedmnasty wiek charakterystyczne — Ten rodzaj *humoru* jaki w nim znajdziem, jest prawie jedynie używany w tém wieku u nas, zależy on na tak szalonym przewróceniu wszystkiego do góry nogami, że ledwie się cieni jakiś rzeczy dostrzedz daje.

Nie jest to żartobliwość — jest to rodzaj szalonej naiwności. — Może być że ta Satyra którą zaraz lepiej poznamy. miała za cel wyśmianie podróży młodych paniczów, do obcych krajów. Trzeba być bardzo poważnym, żeby się z początku nie rozśmiać, bardzo cierpliwym żeby się temi grubemi żartami Sowizraliusa nie znudzić na końcu. — Ta butada choreja wesolej głowy nosi tytuł.

(1) Antykwaryusz, Żebrak z ruin (Banima).

— *Peregrinacya Maćkowa z Chodawki Kurpetowego syna, a Nawłokowego brata, którą opisał Kopera na kobyliim pargaminie.*

Jest to istotnie podróż Maćka Mazura, a w jakim rodzaju pisana dadzą poznać następne wyjątki, w których religijnie zachowuję oryginalną ortografią.

„— Wysedsy z noclegu, trafili mi się styzey, towazyse, ieden głuchy, drugi ślepy, trzeci nagi, cwarty chromy, tedy był barzo rad towazystwu, bo byli chłopi męzni y urodziwi, wz wys na półtora łokcia, a wserz na dwa łokcia. A idąc z nimi pseż ono puszcą, ozmawialiśmy z sobą, o wielkich zecach. A w tym zekł do mnie głuchy (bo mnie starsem między sobą ueynili) Panie, coś tu selesci, po tey chrześlinie nie daleko nas, a słychałem że tu na tey puscey są zboyce. Potym zekł ślepy — Panie moy, y mnie się cos nięgnęło psed ocyma — Alić nagi pocnie mowić, a nieścioiciez, by nas ieno nie odarto. W tym chromy krzyknał — Uciekaymy, y tak porwawszy się wsyscy, wciekli odemnie, a ia sam na poly umarły został od wielkiego strachu.“

Lub dalej.

„A od tey groble już iedno z cwierć mile

ku zamkowi pocał się most psez pagorki z sarej pajęcyny, na kobylicach mglistych, po którym slišmy smiele do samey brony (bramy) barzo mocncy z komorowych goleni. Zwód był z twarogowego kołaca, krata s psepior-cych sieci, kłotka pętna z łycaka, a wrotny z samego twarogu, mąż siwy y wielki, na piądz od ziemie, a broda na łokiec. Potym zakołatałiśmy we wrota gomołką twardą z kalety (torby) wyjąwszy, y wysedł do nas wrotny, a obacywszy nas swidrem psez kratę, poznał zesmy ludzie podroźnicy a cudzoziemcy, nie chciał nas puścić azem ja ukazał mienda-cią pod pieczęcią z Osieka, od Pana Bluy-mistrza.

Pozwólmy sobie jeszcze przeczytać ten kawałek, dziwując się że autor mógł na tym tonie utrzymać się przez kilkanaście kartek.

„A w tym poyzimy za stół, i obacymy a krol za stołem siedzi, osoba grzecna, coło miał sklane, twarz z łupin orzechowych, zęby rzepiane, brzuch słomiany, wąs błękitny, a pod kolanami się zaiąkał, w toconych poń-coskach, szata na nim z wosku czerwonego, kołpacek z łużnego worku. Zapona barzo iasna z serseniowych łupin, kamieniami dro-giemmi sadzona, wystko glazami — azem sobie ślepie zatkał! A kita była z krowiego ogona.

baćmągi (bóty) miał barskowe — Podle niego siedział jakiś półgrabia, który był w gościnę psyjechał, w serwatczanym zupanie, a farczyna twarogowa, młodym masłem podsytą, a guziki od samey gęby z maślanki pluskane, aż pod pas zachodziły. Pas miał cukrem sadzony bagazyowy.“

Wszystko to dzieje się na Jęczmiennym świecie, dokąd Maciek zawędrował — ale jeszcze na dobitkę opis łoża królewskiego.

— „Potém zaprowadziliśmy króla do łoznice kosztowney y obitey, w której ścianey z jesienney mgły, obicie z marcowego wiatru, letnią rosą hawlowane, posciel barzo gżecna z drobnego ksemienia, koldra z koperwasu mieniona, hałnem tartym nakrapiana.“

Dajmyż już nareście pokój Maćkowi i Sowizraljuszowi, a przejdźmy do innych tegoż rodzaju i wieku książek.

Oto jest:

Woyna główna między kotem a myszami, które bacząc się być ukrzywdzone, uczyniły zjazd y uradziły wojnę podnieść przeciw kotowi, przytym o nędzy, zaraz po tey wojnie dla czego w sieci, a nie w innych szatach, upodobala sobie chodzić.

Czytelniku łaskawy, nie dziwuy się temu,
Że wojnę podnosi, narodu myszemu,

Wszak też y olbrzymowie na Bogi walczyli,
 Tak potężnie mało ich z nieba nie zrzucili,
 Już byli nałożyli kupę gór nie małą,
 Aż Jowisz piorunem bił, ledwie ich zuchwała
 Y uporną myśl skrócił, także y te myszy,
 Skoro im kot chłostę da, będą ony ciszy.

(R. pansk. 1608. 4to. typ. goth. 2 karty, holsztych i wiersze o nędzy — nędzne). — Bez wątpienia jest to satyra ówczesnych przygotowań na wojnę — lecz ciekawa rzecz czy ją Krasicki czytał?

Nie wiem czy do dyalogów to jest pierwszych prób dramatycznych, przeznaczonych do grania na scenie, czy tylko do prosto satyrycznych poczij następne policzym.

Albertus z wojny. Teraz znowu wydrukowany w Krakowie w drukarnicy u Dziedziców Jakuba Siebeneychera R. P. 1613 (4to typ. goth.) Jest to rozmowa wierszem księdza, jego dawnego wychowawca Albertusa i Wojtasa opisująca wyprawę wojenną, podobną Don Quichottowej, albowiem na dobitkę podobieństwa jest tu i Rossinant bez ogona. Pisemko to nie jest bez zalet imaginacji, a przy lepszym smaku w wykonaniu, uszłoby za niezłą satyrę.

Uchwata dworska na Tatary.

Długo myśleć, wskok czynić, jest to zwyczaj stary,
 Tym sposobem pan Hetman pogromił Tatary.

R. P. 1614 (b. m. 4to. typ. goth.) Dedykowana Janowi Topolskiemu X. J. M. PP. — Jest to wniosek żartobliwy aby służy co panów swoich kradną, kommisarze, masztalerze, kuchmistrze i t. d. dali coś kaźden na potrzeby wojenne.

Praktyka dworska. W Krakowie w drukarni Mik. Loba R. P. 1615. (4to. typ. goth. et cursiv.) Autor Jan Zabczyc przypisał ją Mik. na Żyweu Komorowskiemu.

Są to różne prawa albo przepisy moralne osobliwie dawnych Greków, wszystkie wyborne — ale rzecz kończy się dowcipnym słownikiem dworskim z którego wyjmie kilka słów na próbę.

Blasphemus, Dworzanin.

Fornicarius, Frant.

Ebriosus, Chlebowawca.

Expoliator, żołnierz.

Impunitas, zwyczaj.

Injustus, zabiegły.

Inobediens Deo, Regi-legi, wolny sobie szlachcic.

Licentia, wolność szlachecka.

Necessarium malum, piękna pani.

Praevaricator, prokurator.

Rapax, czujny o sobie.

Sedulus, Niemiec.

Temeritas, rozsądek.

Usurarius, rządny magrosz.

Prodigus, dobry człowiek.

Myśl tego słownika, którą potym nicowali na wszystkie strony, wydawcy Swistków, motylów, pszczoł i pszczołek, jako oryginalna wówczas nie jest bez dowcipu.

Tegoż Żabczyca jest jeszcze. *Ethyka dworskie w Krak. w druk. dziedz. Jak. Siebeneychera*. R. P. 1615. (4to. typ. goth. medalion z napis. Concordia) przypisana Gerzemu z Siecina Krasickiemu Chorążemu Halick. — Są to dystychy i tetrastychy moralne, niektóre dosyć trafne inne grubo wyrażone i pospolite.

Zbiory podobnych epigrammatycznych uciników i zdań bardzo są liczne w XVII wieku, a w ogólności wszystkie pisma satyryczne są krótkie i jakby z wysileniem pisane.

Oto jeszcze zbiór podobny.

Swiat po części przeyrzany do druku podany, Krak. Druk. Fr. Cezarego R. P. 1697. 4to. typ. goth. pag. n. n.) autor Dan. Bratkowski, przypisał go Augustowi II. Zdaje się że ta książeczka zresztą mało warta, piszącemu o przysłowiach mogłaby się przydać.

Swiatowa rokosz z ochmistrem swoim y z dwunastą swych służeńnych panien,
II.

przydana jest fortuna polska dzisiejsza.
Drukowano z poprawą R. P. 1624. (4to. typ. goth. F.) Autor Hieronim Morsztyn znajomy jako ojciec przesławnej Bauialuki i całych Antypastów, przypisał ten wiersz Mik. Zenowicowi Wojewodzie Brzeskiemu Dworzaniu. J. K. M.

Ochmistrz światowej rokoszy jest dostatek,
 a Panny, Pompa, Assistencja, Compania,
 Dicta (ale nie doktorska) (sic) — Piatyka,
 Podwika (spodniczka) Muzyka, Saltarella,
 Krotochwila, Gra, Przejadźka, Uciecha —
 Kończy na — *Vanitas vanitatum* i trupiěj
 głowie. Niektóre wiersze muiěj chropawe.

Cnota grunt, fraszka złoto,
 Wszystko to ziemia, lłoto,
 Wszystko to czas rozchwieje,
 Cnota się nie starzeje.
 Bogactwa nie jednego,
 Zagubiły głupiego!
 Na enocie nikt nie traci
 Sam ją Bóg dobrze płaci.

Lub dalej przy końcu.

Grób ci ciało okryje,
 Robak kości rozryje,
 Ziemia w ziemi, a duszę,
 Bogu poruczyć muszę.

I jeszcze o złocie.

Dobre złoto przy enocie,
 Lepsza cnota przy złocie.

— — Wiem choć cnoty nie ganię,
Że nie da żyd nic na nie.

Potém holesztych wyobraża trupa głowę
z napisem: *Mors ultima linea rerum!* pod
którą są jeszcze takie cztery wiersze:

Bryła ziemi mój zamek, a pokój tarcica,
Na łokieć w ziemię mój sklep, to moja piwnica,
Poduszka twardy kamień, ubior gnoju szmata,
Robak sługa. To wszystka korzyść tego świata.

Nie będziem już zaglądać nawet do Bania-
luki i ominiem poczciwego Bartosza, dzie-
sięcioro przykazania mężowo — lecz niepo-
dobna niezajrzeć przechodząc do Sielańek
i Epigrammatów Simona Simonidesa. Pod
względem myśli i języka, są one najlepsze
z tamtych czasów w swoim rodzaju. — Wy-
szły one 1640 Krak. (4to. N. 3.). Nagrobki
zbieranój drużyny wszystkie prawie dla żwie-
rząt, dosyć dowcipne, a przyłączone Nagrobki
Zielone innego Autora im nie ustępują. Na
przykład:

Dudzie (dudarzowi).

W tym grobie Duda leży — Dudy naleziono,
A po śmierci na starej wierzbie zawieszono,
Śmierć trochę uprzedziła, i opak się stało,
Bo co się Dudom dzieje, to Dudom być miało.

Złej żonie.

Ten grób dostał się jednój jadowitej żenie,
Ale, by miała ziemia morskie przyrodzenie,

Żeby co nieczystego z siebie wyrzuciła,
Nigdziebys zła, niebachna, grobu nie dostała.

Z żalem od ślicznych Simonidesa wierszy,
przejdziem do ciekawej ramoty.

Postny obiad albo Zabaweczka, nim poście (zamiast *w poście*) *w kuchni gotowo będzie o jedenastej godzinie na pulzegarzu i t. d. p. P. II. P. IV.* Krak. 1653. day Boże szczęśliwego. (więc to wyszło jak na kolendę) (4to. typ. goth.) Są to epigrammata na potrawy i na gości którzy za stołem siedzą — dla ciekawości gastronomów wypiszmy postne potrawy — Cudowny odbyt książek kucharskich w Litwie (świadkiem Szyttler) każe się spodziewać, że każdy kto pisze do brzucha Litwinów, lepij przyjęty zostanie, niż ci co piszą do głowy lub serca.

Polewki. Migdałowa, winna, kaparowa, siemienna, barszcz, kisiel szlachecki, kisiel chłopski, żur, gruca, grochówka, birembrot (bier und brodt).

Ryby. Łosoś, pstrągi, brzany, lypienie, barwany, ślize, czeczugi, kielbie, jesiotry, ninogi (sic), szczuka (szczupak) żółto z pańska, szczuka żółto po szlachecku, szczuka szaro, szczuka rosółowa, karp czarno, karp szaro, karp rosółowy, okuń, leszcz, jądźwiec, karaś, liny, bielec, jazgarze, wzdręgi, węgorz,

plóciece, stoklisz, wyzina, żaby, żółw, ryby w pasztecie, ryby w ciastach francuzkich, mientusy, sum, karpkaraś, piskorze.

Jarzyny. Rzepa, kapusta z grzybami, o niej powiedział:

Litewski pewnie przysmak kapusta z grzybami,
W Wilnie ją stawaj na stół między półmiskami.

Bóraki, śliwy i t. d. Są jeszcze w dodatku kluski, całki, paluszki z miodem i t. d.

Wety. Cukry lodowate, frukty (sic) orzechy, groch prażony.

Któż z nas nie słyszał piosunki o zającu.

Zając sobie siedzi pod miedzą?

Każda służąca śpiewa ją z mudy, koląc się w palce i siedząc nad robotą — Miło mi więc oznajmić, że ta piosuka jest z roku 1650 i może być uważana, jako żywa jeszcze pamiątka XVII wieku w XIX. Jest ona tutaj umieszczona na końcu i więcéj warta od wszystkiego razem, opis polowania, ucieczka zająca, mowa jego przed zgonem, wszystko to wiele ma fantazij — nie nie mówię o wier-szu, bo gdzie jest jaki taki pomysł, nie godzi się surowo na jego strój patrzeć.

Zaczyna się.

Zając sobie siedzi pod miedzą
A myśliwcy o nim nie wiedzą,

Po chrościecinie zakładają.
 Szczują, trąbią i wołają
 Owo bież.

Długo ze złemi psami przeciąga się polowanie (1), wzięli nakoniec nieszczęśliwego zająca i ten się jeszcze tak do myśliwców odzywa:

Siedzę sobie w horu jak w domu
 Nie uczynię szkody nikomu,
 Miasto mięsa wrzosem żyję
 Miasto wody rosę piję,
 Na trawie.

Grochu nie potłukę, ni prosa,
 Pod strachem też idę do owsa,
 Z brzegu tylko niedojrzałych
 Kosztuję ziarn y niecałych
 Z poranku.

Gdy też do tatarki przychodzę,
 Jak drjakwi wzięwszy odchodzę,
 A jeśli w kapuście siadam,
 Po listeczku tylko zjadam
 Na obiad.

Gęsi, kurcząt, kurow nie trapię,
 Jeśli też spię, przecie nie chrapię,
 Nie ruszę zwierza czulego,
 Nie zptoszę ptaszka małego
 Z krzewiny.

(1) *O psiech gończych i myśliwstwie z niemi. Krak. Andr. Piotrkow. R. 1608. sto. E. 5.*

W podobnym rodzaju do *Peregrinacij Maćkowej* są:

Sakwy w których nie dla koni, ale dla ludzi tych którzy nowiny lubią, smaczne y osobliwe obroki, urobione od Cadasyłana Nowohrackiego na Krempaku (4to. typ. goth. C. 2.). Są to niby listy z różnych stron pisane z osobliwyszemi nowinami, w których rzadka błyska iskra dowcipu. Na końcu pod tytułem: *Nowy świat* — jest myśl którą Żółkowski wziął do *Wyspy wszelkiej szczęśliwości*, ale tu już tłumaczona jest jak pisze z włoskiego. Jest i droga do tego świata i na tém się kończy.

Porzućmy zresztą spleśniałe dowcipy pradziadów — oto mała książeczka dosyć stara i ciekawa.

De Turcarum moribus Epitome — Bartholomaeo Georgicviz Peregrino autore. Lugd. Batavor. Ap. Joan. Tornesium Typogr. Reg. MDLXXIII (1578) (16mo) z rycinami xylograficznemi — (pp. 184.) Jest tu rozmowa po turecku jedna, druga po słowiańsku taka — na próbkę języka.

— Pomożi Bogh gospodaru?

— Dobro dossao prijateliu (dobre doszou — bene venisti).

— Jeli onay pravi puth w Kalipolie (jestli owy prawy put').

— Ni brate, zabłudiosi daleko.

— Od koiessi zemli? kazuimi? (od koje jesi ziemi, skaży mni).

— Od Vlaske zemliessam, od Benetak (Wenecji).

— Ukazi mi puth takoti Boga.

— Hodi ssammon nichoisse nistar (chodi za mno nie boj sia niczego).

— Jeda, koje glasse imas, kazuimi.

— Ne takomi vire, da znam providalbieh ti.

— Ostać z Bogom brate, onie grad kamo gres.

— Poi z bogom i bogh te zdravo nossio.

— Hualuti imam i dobrati nots bila.

Z tej próbki pomiarkować możemy, jak nam większa część podróżnych wiernie języki zwiedzonych krajów opisuje. — Co się tyczy Turcji, wymienię jeszcze mało znaną podróż jednego francuza. *Les navigations, pereginations et voyages en la Turquie par Nicolas de Nicolay etc. En Anvers (avec 60 fig.) MDLXXVI (1576) 4to. 306 p.*

O początkach Teatru polskiego, pisał Juszyński a Słowacki rozebrał, komedyjkę *Dziwostab*, nie pozostało więc nam w tym przedmiocie, tylko po nowe pomniki pójść do

rękopismów. Zaczniemy wszakże od jednej drukowanej komedij, która się dotąd anatomistom literackim wymknęła.

Komedyja Rybaltowska nowa. Persony:

Prolog. Magister albo Klecha w giermaku.

Kantor także w giermaku z bicsagami.

Dzwonnik z nasiekanym kijem.

Albertus po starożołniersku w jakiej katańce.

Confederat stroyno, piorno, szabehno, ostroino.

Gospodarz z cepami po wicysku.

Gospodyni też po wicysku z motowidłem.

Dziad z siwą brodą, na kulach, oszarpano.

Baba także z iakim garukiem na powrozkun
do kadzenia y z ożogiem.

Diabeł z workiem popiołu na kształt cep.

Epilog.

(Tu wyobrażona twarz skrzywiona w medaljonie, mająca zapewne uosobiszczać komedję, wyobrażeniem maski jakiej Grecy do komedij używali, znajomych dobrze z rękopismu Watykańskiego Terencjusza i innych starożytności.)

Drukowana z poprawą R. pansk. 1615. 4to. (typ. goth. IX. pag.) Zdaje się z samych opisów strojów, że ten rodzaj dialogu był do grania przeznaczony, jako i inne pseudo komedje np. owa na Rialta Blazna Zygmunta III.

Słowo Rybalt zdaje się odpowiadać i schodzić z wyrazem francuzkim *Ribaud* (1).

Wiersz niezły — starym zwyczajem wprowadzone chory.

W *pierwszej* scenie czyli traktacie Magister i Kantor idą do gospodarza po kweście, od której on zniszczeniem i nędzą się wymawia.

W II-giej po toż samo przychodzi Confederat do Chłopa, ale go Magister i dzwonnik łaciną bawią, i o uciskach chłopów roprawiają, o uciskach od Konfederatów, przywodzą napaści na kobiety, w Łami, w Wieliczce i w Lublinie na Krakowskiem Przedmieściu w gospodzie.

W III. scenie czyli traktacie Baba i Dziad przychodzą znówu do chłopa po kweście. W tejże scenie Confederata rozbrajają, ale go nadbiegłszy Albertus ratuje od pobicia. Ten Albertus jest to osoba *sine qua non* w podobnych utworach. Albertus z charakteru jest to tchórz, którego okoliczności wzięwszy za kołnierza prowadził po wojennych wyprawach, powrócił do domu udawać junaka. Pół wieśniak, pół wojskowy, rodzaj amfibij, gaduła, pieczeniarski, z głupia frant, jest naturalnym pośrednikiem między wie-

(1) cf. *Jacob Bibliophile* (Paul Lacroix). *Le Roi des Ribauds*.

śniakiem a wojskowym. Albertus tedy ratuje Confederata, każe go przeproszać i oddać mu broń odebraną. Co gdy się stało Confederat poprzyjaźniwszy się z wybawicielem odchodzi. Potém Gospodarz każdemu z przybyłych coś rozdaje, nie wyjmując Baby i Dziada, którym po gomółce. Dziękując za to Baba okurza chłatę i wywołuje djabła, który wyleciawszy z kąta z cepami bierze ją do piekła. Kończy Epilog i ehór. Wiersz wcale niespodziewanie jest znośny, prócz grubej i bezsensownej rozmowy czarownicy z djabełem. Żadnego pomysłu, węzła, peripecij nie ma, chyba zechcemy wziąć za węzeł pobicie Confederata, lecz wzięcie Baby do piekła, będące podwojonym rozwiązaniem, niszczy pierwsze. — Nie jest to komedja, ale tylko obrazek.

W tym rękopismie już XVIII wieku, znajdziemy jeszcze rodzaj podobnej *Folie*, częścią po polsku, częścią po mańrusku. Tytuł jej jest: *Bayki Kozackie z Kostyłem i Żołnierzem*. Osoby wchodzące Żyd, Kostera (od kości do grania, co się pokazuje z wiersza gdzie mówi *kostera s kostumi*) i Dudko. — Jest to prosta rozmowa tych osób, podobnież bez żadnego węzła, była jednak niezawodnie grana, co się pokazuje z informacji. Między innemi, taka jest dla Żyda.

Informacya dla żydowskie kromy czeo potreba ymity. Choho żydowi w kromie imity 1. korobku nosit za pleczyoma z kramom, kram takiy, odna onuczka czernaia, a druhaja zelenaia. Szmatkow kożusznych albo iakohoż kolwek futra powiazanych y dwi kupki pesku y szmatok lisiey, zo try szmatki sukniannyje czerwonyje y inszyje. 2. Barlaki, lulka, cybuk, puszka s tobakoin, tiutinnu szmatok, korynia iakoi kolwek uaryzaty dowhimi szmatkami, to szuszyty choc zryt, a to czoho kolwek na nitku powiszaty, misto roznaho korynia, toy kram wieś budet w korobec, na sebe treba Barlit y sukni żydowskiie y posoch w rukach.

Kozak welit zrobit butawu sołomianin weliknin chustami obszyty y oczernity y roh za poiasom na sebe nadywat kożuch albo szczokolwek. Dutec treba borodu ostrzyżennuju z welikimi usanni, y dudu, a sukniu jaknuż kolwek, kostyry treba wielikij szabatłas a kosty chocz derewennyje welikije y siarmiahwi iakniu kolwek. “

Z oracij na końcu umieszczonój, pokazuje się, że ten osobliwszy djałog grany był na Zmartwychwstanie Pańskie, i to przed jakimś księdzem prałatem, bo mówi: „— kiedy na-
bożnie spekulujesz tajemnice Chrystusowe, y

naśladowiesz pobożnemi nożynkami stopy Jego i t. d.“ — Wspomina także o widowisku w poważniejszej materij religijnej z pisma S. wziętém (Mysteze).

W tym rodzaju ciekawy rękopism XVII wieku widziałem, zawierający kilka grywalnych djalogów — Najznacześniejszy z nich był:

Joachim y Anna

Comedia o nieplodności Anny S. z Joachymem mężem icy, których w dziewięćdziesiąt latek uraczył P. Bóg potomstwem Błogosławioną Panną Maryą między czórkami Syouskiemi nigdy nie porównaną.

Personae.

- | | |
|---------------------|-----------------------|
| 1. Prologus. | 9. Gizera Judacus. |
| 2. Joachym. | 10. Hotzer Judacus. |
| 3. Anna. | 11. Smoil Judacus. |
| 4. Saran sługa. | 12. Bardey Pastor 1. |
| 5. Bastania puella. | 13. Misgoła Pastor 2. |
| 6. Sarx aulicus. | 14. Digutry Pastor 3. |
| 7. Isaphar Biskup. | 15. Angelus. |
| 8. Kukiah servus. | 16. Epilogus. |

Zaczyna się Prologus od słów:

Rzecz którą teraz na thym placzu zaczijnamij.

Co dowodzi przynajmniej, że była przeznaczoną do grania.

Actus I. Joachym y Anna. Rozmawiają sobie o swoim smutku, że wstyd im dzieci nie mieć.

Actus II. Joachim, Saran sługa, Anna, Bastania dziewczka, Sarx dworzanin. Oznajmuje Joachim że jedzie na święta do Hierusalem i sługom pilność około domu zaleca. Zostaje się sama Anna i już po mężu tęskni, Bastania ją pociesza. Potém zostawszy się Saran z Bastanią, o ubiorach kobiecych kłótnię wszczynają, w której Bastania Didonę i Semiramis wspomina, a niemogąc przegadać Saranę, nie wiedzieć dla czego radzi mu zostać Bernardynem (za czasów Joachima!!!) dla tego jednak zapewne że tak bardzo na stroje wyrzeka.

Actus III. Izaphar, Gizera, Kukiach, Joachim. Scena ta już jest w kościele, Izaphar Biskup gawędzi z żydami nim pójdzie do ołtarza, a chcącemu z ofiarą towarzyszyć mu Joachimowi, każe pójść precz dowodząc, że jest u Boga w niełasce, bo dzieci nie ma.

Actus IIII. Izaphar, Hotzer, Joachim, Smoil. „Tu (pisze autor) żydowskie sztuki mają być „wyrażone, jako najgrzeczniczy i śpiewać mają, „potém Biskup zacznie mówić “ — Jakoż mówi Izaphar rodzaj modlitwy — potém znown autor przestrzega. „Tu kadzidło palić, kurzyć,

„barany niech wrzeszczą, żydowie amin, amin, „niechaj krzyczą.“ Potem Biskup każe się rozejść do domów, przepraszając że tak długo nabożeństwo trwało. Joachim narzeka Smoil go nihy cieszy, i chcącemu iść do swoich pasterzy, przypomina że w domu żonę samą zostawił — Nakoniec dają sobie Dobranoc.

Actus V. Bardej, Mizgoła, Digudej pasterze. Joachim Cosmus, Anioł, Anna, Bastania. — Pastuchy rozmawiają na polu i witają mile przychodzącego Joachima, który im z góry prawi o powinnościach sług, zachęca do pilnowania bydła żeby szkody nie miał. Następuje Monolog Joachima po ich odejściu, aż oto i Anioł nakoniec przychodzi i zwiastuje mu, że Anna córkę powije. Joachim powiada, że mu ta nowina jak *cukier* smakuje. I już jest razem z Anną jakby równemi nogami do domu skoczył. Tu się cieszy z żoną, każe gotować wielką ucztę, bić barany i stroić się dziewczętom na podziękowanie

Benedicite dziatki, wesoło krzyknijcie!

Wola i odchodzi. Następuje Epilogus, a w nim nauka moralna dla słuchaczy — Prosty jest układ tego widowiska, wszakże jak na wiek XVI, w którym miarkując z pisowni, ułożoném być musiało, nie jest to zupełnie

złe i mimo mnóstwa niedorzeczności i najgorszego wiersza, wymawia się przynajmniej jednością rzeczy.

Potém są dwa *Intermedja*, w jednym *Pater, Magister et filius* wcielający żartują sobie bardzo dziwnie przekręcając łacinę, w drugim sam jeden jest *Dworzanin*, także niebardzo zabawny. Godna uwagi że *filius*, nazywa się *Albertus*, bo to imię wszystkim z głupia frantom, pospolicie dawano, a takim właśnie jest tutaj *filius*.

Jest jeszcze podobna i tegoż samego czasu *komedja* o Abrahamie. Zaczyna się od Prologu — potém w Akcie I. rozmawia Abraham z Bogiem i Izaakiem kolejno.

Wtóry Akt. Sara, Amiech dziewczka, Abraham, Izaak, słudzy dwaj. Dowiaduje się Sara, że Abraham czegoś zasmucony i w drogę się wybiera, wypytuje się, on ją zbywa, aż nareście wchodzi Izaaczek z biczykiem, bo już do drogi czas. Żegnają się.

Trzeci Akt. Abraham, Izaak, Anioł. — Izaak skarży się że go nogi bołą, ojciec go pociesza, że wkrótce na miejscu staną — Zostawniają sługi, a sami idą; Izaak drewka nosi i ogień na ofiarę nakłada, a gdy Abraham oznajmuje, że jego ofiarować będzie, Izaak odpowiada:

A dla Boga! Wszak Bogu offiarują kozłij ij baranij
A nie ludzie — pewniesz się ojcze osłyszał.

Narzekańie jego — ojciec wiąże ofiarę, aż
oto i Anioł *Deus ex Machina* wchodzi, wo-
ła — Postój, postój! — i na tém się kończy
z Epilogiem wszakże do słuchaczy.

Smutno jest zastanawiać się nad tak dzie-
cinnemi utworami, przypomniawszy sobie,
że w tym samym czasie, w którym u nas
grywano *Bajki Kozackie* lub *Djalogi* o Joa-
chimie i Abrahamie, Anglia miała już Shaks-
peara! Że kiedy na weselu Władysława IV
grano Tragikomedją o S. Cecylii (1), *John*
Bull, zachodził się od śmiechu patrząc na
wielki brzuch Falstaffa i poklaskiwał jenjal-
nym pomysłem Calibana, Otella, Hamleta! —
Tam w Anglij teatr powstał samoitnie u nas
przeszedł dopięro od obcych — to co dziś
mamy nie jest z ducha i pomysłu nic a nie
oryginalném, są to naśladowania tylko Wol-
tera lub Rassyna, naśladowania Göethego,
naśladowania Shakespeara! — tak jak we
wszystkich prawie oddziałach pismienictwa,
same blade naśladowania. Wątpię żeby kto
upatrzył oryginalność w *Barbarze* i *Wan-*
dzie, są to przenicowane francuzczyzny,

(1) Rywocki, Wassenberg.

Mnich, *Klara*, *Aniela*, są to niemieckie dumania, echo *Rozbojników*, *Szyllera* i innych sztuk dwóch mistrzów niemieckiego teatru, komedje *Samolub*, *P. Nowina* i wszystkie Fredry, są bardzo miłe, na widowisku, w czytaniu, z przedmiotów narodowe, lecz sposób obrobienia ich nie ma nic odrębnego od innych, żadnego piętna oryginalności.

Na nieszczęście nie możemy się nawet kiedykolwiek spodziewać w tém szczęśliwej odmiany i musim się obcym ziarnem. wyrostym na naszej roli kontentować. Lecz co za nieszczęście spiknęło się na nas, że przy tylu z rzemiosła tłómaczach, przy wielu utalentowanych nawet, tego czegobyśmy najłakomsi być mogli, jeszcze po polsku nie mamy. Każdy się domyśli, że mówię o nieśmiertelnym Shakespearze, którego nasi belletryści, ledwie z imienia głośnego znają. Dali oni nam tłómaczenia Rassyna, Cornucille, Woltera pisarzy których cała zaleta leży wyłącznie prawie na stylu, a tém samém czyni ich rośliną nie do przesadzenia, a żaden z nich nie pomyślał o tym jenjusz, którego nieśmiertelne dzieła, najbezpieczniej przełane w obce formy, jeszcze są wyższe od tysiąca niemych i bladych francuzszczyzn.

Mamy tego dowody.

Mówię że nie mamy Shakespeara, bo tłumaczenia, z tłumaczeń pocziwego p. Ducis są niczém — jest to perkalik trzy razy prany, na którym ani lustru, ani rysunku nieznaczno. Wolalbym z biędzy ażeby tłumaczyli z Wielanda i Herdera, bo język niemiecki, bliższy angielskiego co do ducha, więcej z oryginału by nam oddał, niż francuzki, który go mimowolnie rozciąga, osłabia, enerwuje.

Przyszły, da Bóg doczekać, tłumacz Shakespeara, powinien być tak oswojony z językiem angielskim jak z swoim rodzinnym, powinien znać ducha poety, ducha jego czasu, powinien go tłumaczyć wicruie a niedosłownie, całego a jednak nie wszystko. Powinien wyrzucić zręcznie wiele bardzo, tak aby tego znać nie było i najlepiej jeśli nie ufając sobie, poradzi się w tém Wielanda, lub przyjętego na teatrach angielskich układu, wszakże ostrożnie, aby zbyt nie obciął drogiego klejnotu, który musi być oszlifowany, aby się świecił.

Z wielu przyczyn niezmiernie trudno byłoby nam tłumaczyć Shakespeara, bo i Niemcom spokrewnionym duchem i językiem z John Bullem, nie bardzo się to udawało. Narodowość jego, wiek w którym pisał, oddalony od nas język, wszystkoby stanęło na

zawadzie, piękności prawdziwe, piękności myśli, przeszłyby do nas, piękności podrzędne, językowe, musiałyby w przeprawie utonąć.

Naprzykład w komedij *Wesołe kobiety Windsorskie* (Akt III. Sc. V.) Sir John Falstaff powiada.

On went he for a search, and away went y for foul cloaths. Jak potrafił przełożyć to *for* nieuwłaczając sensowi w oryginale pokrytemu ?? Lub (Akt III. Sc. III.)

Lady Ford. You were best meddle with buck-wasching.

Ford. Buck? Y would, y could wash myself of the buck! Buck, buck, buck? ay buck; y warant you, buck, and of the season too, it Ithall appear.

Czasem Wieland dowiecipem swoim niektóre próżne miejsca sztukował, lecz kto wie jak by się to naszemu udało? Wieland naprzykład w komedij *Dway z Verony* (Akt II. Sc. IV.)

Thurio Und wo fandet Ihr meine Thorheit aus?

Valentin In eurem Wams.

Thurio Mein Wams ist ein doppeltes Bruchstuch.

Valentin Gut; so will ich auch Euere Thorheit verdoppeln.

I zaraz Wieland ostrzega: *Jerkin* (Wams) und *doublet* (pourpoint) sind Stücke ans der Tracht des sechzehnten Jahrhunderts, deren eigentliche Benennung in unser Sprache mir unbekant ist. Die antwort des Walentin ist ein Wortspiel, wozu das Wort *doublet* dem Anlass giebt.

Ściśle biorąc, jakiegokolwiek rodzaju są te piękności czy plamy ginące w tłumaczeniu, czy w nich znać wiek, czy obyczaje, czy smak zepsuty, jak np. w drugiej scenie, pierwszego Aktu przywiedzionej sztuki między Speedem i Walentynem, której Wieland, nie mógł, nie chciał i nie żałował, że nie przełożył, lub w scenie następnej między Julją i Lucettą, gdzie termina muzyczne tak wielką grają rolę w ich żartach, a którą również niemiecki tłumacz opuszcza, bo jej przełożyć nie mógł — jakiegokolwiek są te piękności czy plamy opuszczone, źle jest powtarzam, ściśle biorąc, jeśli je tłumacz opuszcza. Dobry tłumacz nie powinien poprawiać oryginału, ażeby nie odmienić fizjonomij autora swego, do której odznaczenia, równo piękności jak błędy wchodzi. To jednak tłumaczenie całe, charakterystyczne, byłoby nie dla ogółu, ale dla czytelników wybranych, bo ogół, nie patrzy autora ale dzie-

ła, przyczyn ukontentowania, ale skutku samego.

Sam sposób wyrażenia myśli, w przelaniu Shakespcara musiałby wielkim uledz odmiannom — chcecie przykładu? dam jeden z tysięcy (*Wieczór Trzech Króli. Act. II. Sc. I.*) *Sebastiano*. „*Yam yet so near, the manners of my mother, that upon the least occasion more, mine eyes will tell tales of me.*“

Potém znown wyrażenia odnoszące się do podań gminnych i wyłącznych narodowych zwyczajów, jeśliby chciał tłumacz przenarodowieć, zrobiłby karykaturę, jeśliby opuścił, zepsułby wyobrażenie całości, zostawując jak są, od nas nie byłby zrozumiany.

Naprzykład w komedij *Wiele krzyku o jedno nic* (Akt I. Sc. I.) przełożmy te słowa Benedykta.

„Jeśli to uczynię, wolno mię będzie jak kota w flaszce powiesić i rozstrzelać.“

Którę z czytelników polskich zrozumie, nie mówię słowa, ale alluzją? — Dla czytelników nareście mogą być noty, ale na teatrze? — *Steevens* tak tłumaczy ten zwyczaj — W niektórych Hrabstwach Anglii, zamykano kota w drewnianej flaszce pełnej sadzy (w flaszcy w jakiej pastuchy pijać zwykli) i wieszano na linie. Ten który spuszczał się po

linie, potrafił aż na ziemię ześliznąć się. uniknąwszy tego co było w flaszcze, zostawał bohaterem zgromadzenia. *Douce* dodaje, że ten zwyczaj w Kelso, w Szkocij dotąd się dochowuje i nazywa *Catin barrel*.

Albo w komedij *Wieczór Trzech Króli* (Akt I. Sc. V.) gdzie Riepel mówi — „Do djabła, dobra szubienica, od złego małżeństwa uchować może“ czyż nie potrzeba tłumaczenia? *Grey* (notes an Sh. 1. p. 224) tak objaśnia — Jest zwyczaj w Hiszpanii, iż skazany na śmierć uwolniony od niej bywa, jeśli kobieta jaka chce go mieć za męża. Znajoma jest powiastka, którą *Grey* przywodzi, że jeden występny już był na wozie kiedy kobieta jakaś prosiła o ułaskawienie chcąc go wziąć za męża. Ale on spójrzawszy na nią, zawołał do woznicy — Ruszaj dalej!

Tak jeszcze w *Wieczorze Trzech Króli* (Akt I. Sc. 3.) wspomina Sir Tobiasz o pani Mall. Pytam się kto u nas wie o téj *Marij Frith*, znanéj pod imieniem *Mall Entpurse*, że miała być hermaphroditą i kobietą pod wszystkimi względami najgorszego życia. W Anglij jej historia jak owa o Lord Mirze z przedaży kotów zbogaconym (*Whittington*, cf. *Hogarth. Industrie and Idleness*), o którym w Anglij więcej wiedzą wszyscy

jak u nas o Twardowskim, Szalrańcu, Pszonce, i t. d.

Są miejsca w Sakespearze których Anglicy sami, mimo najusilniejszych i najzmudniejszych poszukiwań, objaśnić nie mogą. Tak jeszcze w téjże komedij (*Wieczor Trz. Kr. Akt 2. Sc. V.*) *The Lady of the strachy, married the ycoman of the wardrobe.* Warburton, Grey, Malone, mogli się nad wyszukaniem podania, któreby się do tych słów odnosić mogło, i ledwie podobno ostatni, coś podobnego wynalazł.

Często wspominaue — *the bed of Ware,* ciekawy byłbym widzieć przetłómaczoném.

Ale narście dajmy temu pokój, długo jeszcze Shakespear tłumaczonym nie będzie, bo ci co teraz nad nim pracują, jak wiem po angielsku nie umieją, a tłumaczyć nie z angielskiego, jestto to samo co monetę fałszować, będzie miała stempel i połysk, ale nie wagę i wartość. Księgarz dla zysku wyda jakiegokolwiek tłumaczenie, rozkupią go ciekawo, a ci co nigdy za polską książkę nie wyrzeli mogą być nawet kontenci, mieć wolno będzie śmiać się; a im nierozumieć mego śmiechu.



V.

PRZEMIER PO STOLICACH.

Siadłem na łopatę i poleciałem.
Brukowe Wiadomości.

Jednego dnia znudziwszy się pomyślałem sobie, czemu ja nie mam wyjechać z domu — kto jeździ ten się nie nudzi — wszak prawda panie Poruczniku?

A. P. Porucznik który długo fajkę nakładał i nakoniec ją stłukł, odpowiedział mi z flegmą na to zapytanie — Nic lepszego nad podróżę.

— Doświadczyłeś tego?

— O! i jak całe życie włożyłem się po świecie. Ale wiesz WPan Dobrodziój, dodał, z podróży najmiłsza chwila jest powrót do domu.

— To nie dowodzi, żeby one same miały być bardzo rokoszne.

— Ale tyle się świata człowiek napatrzy.

— Powiedz mi jaką korzyść odniosłeś ze swoich wędrówek.

— Niesmak i rumatyzm — odpowiedział Porucznik.

— Więc ganisz podróżę.

— Ja? zakrzyknął exwojskowy — gdyby mi kto dał moje młode lata i konia, zarazbym ruszył w drogę.

— A niesmak a reumatyzm?

— A nuda? zapytał Porucznik.

— Prawda, odpowiedziałem, więc bądź mi zdrów.

— Dokąd jedziesz?

— W świat.

— Prędko wrócisz?

— Nie wiem.

— Kłaniaj się znajomym.

— Pożegnaj moich.

— Bądź zdrów.

— Bądź zdrów.

Po tych słowach, siadłem na konia i pojechałem prosto do Paryża, przybyłem tam nazajutrz rano. Musieliście słyszeć nie raz, co to za miasto ten Paryż — wielkie, pełne dymu, błota i krzyku — jednakże nie całe; są tam i bardzo piękne ulice i bardzo ciche place i bardzo czyste trotoary. — Przyje-

chawszy stanąłem sobie w pięknym *Hotel-garni* i siadłem myśleć naprzód, co pójdę zobaczyć w tym tłumie rzeczy godnych widzenia. Ciężki był wybór, pocilem się też przewracając kartki *Przewodnika* i nie mogłem się zdecydować. Chodziłem, siadałem, otwierałem i rzucałem książkę wahając się, gdy odwieczny *Larose*, służący którego nająłem, wszedł na palcach do pokoju.

— Pan potrzebuje czego?

— Twojej rady.

— Cały jestem na rozkazy.

— Co jest najgodniejszego widzenia w Paryżu?

Larose nadał się strasznie, przybrał minę ważności, dotknął palcem zmarszczonego czoła i jedną nogę naprzód wysunął.

— To będzie zależeć od pańskiego wyboru — odpowiedział mi narcście. *Kościół N. Panny*, jest jak słyszałem stawiony podobno przed stworzeniem świata, wielka starożytność! — Chwałą bardzo kopułę *S. Sulpicjusza*, ja niezmiernie uwielbiam szklaną Galerję w Orleańskim pałacu — Ach! ach! a tenże model ogromnego słonia który ma wodą wytryskać? nie jestże to rzecz ciekawa? Mamy także do widzenia śliczną *Menażerję* ztąd o dwa kroki — pokazują

w niej ogromnego wilka — mam nawet bilet w kieszeni.

— Sliczniebym się spisał, pomyślałem, że-
bym tu przyjechawszy, poszedł oglądać wilka,
jakiego nie jednego futro wisi u mnie w sie-
niach na kołku. Cóż dalej *Larose*?

— Można by pojechać obejrzyć Śmętarz Ojca
La Chaise? albo *Bursę nową*, albo *Tuil-
leries*.

— Albo? pytałem ciągle.

— Albo Albinosa i familją Murzynów?

— I jeszcze co?

— Wieczorem *Teatr*, *Opera* — mam ku-
pon do łoży dany mi do sprzedania.

— Zostaw go, ale coś robić we dnie.

— Pojechać na śniadanie do *Very*, ztam-
tąd na przechadzkę pójść na najbliższą Bu-
lewary, ztamtąd wrócić na obiad do *Very*—
potém przyjechać odpocząć w domu. Przy-
niosę panu Gazety i książki z najbliższej czy-
telni. Potém — potém — Teatr—opera — co
pan chcesz.

— Ale tym sposobem ja nic widzieć nie
będę.

— A coś pan chce widzieć.

— Wszystko — i coś więcej jeszcze.

— To więcej łatwo będzie zobaczyć, od-
powiedział usmiechając się *La Rose*, ale

wszystko? I potrząsnął głową. Ja sam nie znam wszystkiego w Paryżu. Czy Pan ma znajomych.

— Nikogo.

— Czy Pan ma interest?

— Żadnego.

— A! rozumiem, zawołał zacierając ręce francuz, Pan przyjechałeś bawić się.

— Nie.

— Więc po cóż?

— Widzieć Paryż.

La Rose otworzył okno od ulicy i ustępując się z ukłonem, dodał: Bez znajomości będzie Pan widział go tyle, ile przez to okno—to jest dachy, mury, kopuły kościołów i tłum na ulicach.

— Powiedzże mi jak się tu robią znajomości.

— Jeśli pan masz wiele pieniędzy do stracenia, u *Very* albo *au Cadran Bleu* — *à l'aiguille d'or!* poznasz pan wszystkich utracjuszków dobrego tonu. Wszystkie elegantki i piękne kobiety w Teatrze, literatów większą część w Kawiarniach. Pan Scribe, wielki mój przyjaciel, o którym musiałeś pan słyszeć bo jego Wodewille, jak mi sam mówił, grywają już w Meksyku, pan Scribe żyje w Kawiarni, zaprowadziłbym tam pana, ale

nie wiem, czyby to było szlachetnie z mojej strony; dodał prostując się. Bo nazajutrz albo w dni kilka, jeżeli pan masz jaką śmieszność, jaki *tic*, pan Scribe mój przyjaciel posadziłby z nim pana na scenie w Teatrze *Varietés*. I miłe zdziwienie zobaczyć nagłe drugiego siebie wychodzącego z za kuli-s. Mamy tu mnóstwo takich wielkich ludzi jak P. Scribe w Paryżu, niektórzy z nich mają kabriolety, tilbury, a nawet *coupé*, większa część jednak piechoto chodzi. Jeśli pan spotkasz kiedy człowieka młodego, bladego, z kapeluszem na oczach, rękami w kieszeni, miną pogardliwą, to pewno jeden z tych wielkich ludzi. Nazywają ich nie wiem czy żartem czy doprawdy familją jeniuszów, jakoż są nawet trochę podobni do siebie wszyscy. Dziwacznie żyją, ubierają się, chodzą, i jak uważałem nic tak nie robią jak my. Oni są także jedną z osobliwości Paryża. Za nimi chodzić nie trzeba, tuzin na dzień zobaczysz ich przez okno.

— Brałem za kapelusz i łaskę, gdy Larose ostatnich słów domawiał i kazałem mu fiakra sprowadzić.

— Dokąd Pan jedzie zapytał?

— Po mieście.

— Dobrze — Wyszedł i wkrótce usłyszałem

na dziedzincu turkot najętego pojazdu. Wyjrzałem, była to maleńka karetką parą mierzernemi szkapami zaprzężona. Na koźle siedział wąsały woźnica i zamyślony patrzył w niebo.

Zszedłem i siadłem.

— *Où voulez vous que je vous mène? mon bourgeois?*

— *Où il vous plaira mon bon ami.*

Potrząsał głową, zaciął konie woźnica i ruszył.

W jednej chwili znalazłem się w ścisku pojazdów, ludzi, fiaków, *coupé*, karet, koczków, tilbury, kabrioletów, diliżansów, omnibus — ludzi, koni, zwierząt różnego rodzaju, krzyki, turkot, szum, huk, wrzask, pisk wszystko to razem wleciało mi tłumnie do uszu, nos otoczyły nieopisane zapachy, błota, kuchennych sosów, perfum, aptecznych mięszanin, wilgoci, kwiatów i mięsa. — Oczy utonęły w tłumie tańczących w koło przedmiotów, bo zdawało mi się na chwilę, że kościoły, domy i mój fiakr i ja tancowaliśmy wszyscy, tak ten ciągły ruch otaczający mnie oczy moje obalamucił. Myślałem sobie będę patrzył, schwyce fizjonomią miasta, ulic — ale ta myśl zaraz za bramą skonafia, bo co krok tak różnorodne spotykałem widoki i

osoby, że mi się nakoniec pomięszało w głowie jak w kaleidoskopie.

Każda ulica miała innych mieszkańców i postać, inne domy, innego smaku kościoły, inaczej ubranych ludzi, inne sklepy, inną wonią i głos panujący. Każda chwila znowu zmieniała te rysy ruchawe fizionomij Paryża. Woznica musiał się śmiać z mojej gapiowatej miny, oglądając się na mnie, a w przechodzie to najoczywiściej śmieli się, wcale tego nie kryjąc, bo sam wyznaję, musiałem mieć minę bardzo wiejską.

Tak jeździliśmy dobrą godzinę i ujrzałem nakoniec, żeśmy powoli wyjeżdżali z miasta. Znać to było po zmniejszonej ludności, ruchu, po budowie domów prościęjszej i czémś nieopisanie wiejskiem, rozlanym w powietrzu i otaczających nas przedmiotach.

— A dokąd to jedziemy?

— *A Montmartre.*

— Ale ja chciałem zobaczyć Paryż, nie okolice.

— Kopalnie w Montmartre są bardzo ciekawą rzeczą.

— Ale wkrótce czas będzie na obiad.

— Mam zawrócić?

— Inną drogą.

— Bardzo dobrze.

Jedziemy znowu, za tym razem poznałem przejeżdżając kilka budowli większych, o których nazwania nie potrzeba mi było pytać mego numerowanego *Cicerone*, przypomnienia widzianych rysunków, były na to zupełnie dostateczne. Z tego powodu zrobiłem uwagę, że kto jedzie za granicę widzieć gmachy, fabryki, zakłady, nie ludzi, obyczaje i ducha, ten mógłby mniejszym kosztem kupić plany i widoki, i za stolikiem od kawy tyle zobaczyć ile w najdłuższej podróży. W skutek téj uwagi powiedziałem sobie, że odtąd w Paryżu będę patrzył na ludzi, nie na kamienie, i fiakr stanął w dziedzińcu, a Larose przyjął mnie na wschodach.

— Jadł pan obiad?

— Jeszcze nie.

— Kążesz pan przynieść do domu.

— Pójdę do restauratora.

— Zaprowadzę pana — Do jakiego pan chcesz?

Kiedy Larose to mówił nagle myśl mi przyszła, że tłum i wrzawa biesiadników, nie da mi uwag zrobić i jedzeniu zaszkodzi, powiedziałem więc.

— Przyniesiesz mi do mieszkania — już nie pójdę.

Po minie służącego poznałem, że wziął

mnie za wielkiego człowieka z tego dziwactwa, ruszył ramionami i pobiegł po kartę obiadową.

Przez kilka dni następnych oswajałem się powoli z Paryżem, odmiana zupełna stroju i miny nadała mi nareście pewną miejską powierchowność, mogłem więc za jej pomocą weisnąć się wszędzie, niebędąc postrzeżony i wytykany palcami.

Ludność Paryża uliczną możnaby podzielić najłatwiej na jeżdżącą swemi końmi najętymi i pieszą.

Ludność zamkniętą w domach na tyle klas, ile bywa piątr, z dodatkiem jednej koczującej. — W tych podziałach miéjsi się niepojęta różnaitość majątków, stanów, charakterów i twarzy, która się jak muszle i ślimaki pogatunkować żadnym sposobem nie da — są jednak niektóre postacie częściej widywane, a te spróbuję wam opisać.

Z staroświeckim uszanowaniem, zaczynam od płci pięknej.

Na pierwszym miéjsu stają kobiety dobrego tonu, to jest dawnych familij i wielkiego majątku. Te mało się pokazują w mieście, chyba w swojej łoży na Operze i to chwilowo, czasem w Magazynach Mód. Resztę czasu trawia: latem w wybraném ary-

stokratyczném towarzystwie na wsi, zimą w swoich paradnych salonach, w których uprzywilejowanych gości w rozmaite dni tygodnia przyjmują. Wielkie wieczory na wzór Edimburskich *raout* pełne ścisku i pisku, dawane bywają w wielkich tylko zdarzeniach. Bogatsi wstawiają się balami, których krótkie opisanie w pismach perjodycznych stanowi rodzaj nieśmiertelności kilkodniowej. Do gospodyni domu należy wybrać i zaprosić biletami swoje towarzystwo, do którego jeśli jest *en petit cercle* wchodzi dla zabawy *artyści* dla starszych, a *Latarnia Czarnoksięska* dla dzieci. Artysta bowiem w takim towarzystwie jest tylko osobliwością lub zabawką. Gdyby to był sam *Lafonte* lub *Herz* musi im grać kontradanse, gdyby to był *Le Brun*, *David*, *Poussin*, musi im rysować karykatury do sztambuchow. Reszta osób gra w *écarté*, *whista* lub tańczy. Pani pierwszego tonu najczęściej jak tylko przędzie lat 30, w bigoterję lub politykę się rzuca.

Po niej następują żony Bankierów, arystokracja pieniężna, zawsze usiłująca pierwszą naśladować, zbyt kowna do szaleństwa, dumna, zarozumiała, bez żadnego smaku do sztuk i literatury, ale z pretensjami do zna-

jomości i gustu. — Tych życie jest kopią pierwszego, z różnicą wszelako, iż jak do tamtych salonów urodzenie, tu wstęp dają pieniądze. — Tam można widzieć często frak trochę przetarty, przy tytule lub imieniu, tu czoło wytarte przy kieszeni która za wszystko odpowiada. — Same panie stroją się bez smaku wprawdzie, ale kosztownie nad podziw, ich pojazdy, liberja, meble, wszystko jest świeże jak imie, błyszczące jak dukat, kruche jak spekulacje na Bursie.

Drugiego rzędu arystokracja uboga po téj idzie klassie. Ona udaje pogardę dla pierwszej arystokracji i dla pieniężnej także, żyje po większej części sama z sobą, bywają jednak przypadki połączenia między nimi a pieniężnymi, w których jedna strona imie, druga pieniądze niesie w posagu, jedna się uszlachca, druga bogaci.

Wszyscy téj klasy członkowie pospolicie z pogardą o pieniądzach mówią, wspominają dawne czasy, dawne swoje zamki, hrabstwa i t. d. emigracją, terroryzm... Nigdzie tyle dawnych tradycij nie można posłyszeć jak w tych domach, które po prawdzie powiedziawszy są dosyć nudne. Ponury metodyzm, sznurowana powaga, obraźliwość nadzwyczajna siedzą od progu do strychu.

Potém znowu następują drugiego rzędu niemający jeszcze miliona spekulanci, ci w takich stosunkach z poprzedzającymi, jak z pierwszymi drudzy zostają. Ton ich towarzystwa kubiécego jest nieco woluiéjszy, nie tak *dobry*, nie tak *fashionable*, chociaż tchnie niezmierną pretensją *dandyzmu* i tego właśnie, czego im brakuje. Wstępi do ich domów, bardzo łatwy, bo życzą sobie pokazać jak wiele mają znajomości, przyjaciół. Same panie stroją się i często równie kosztownie, wytwornie, jak najbogatsi, liberja jednak i pojazdy nie tak się często u nich zmienia, jak u tamtych. Artyści są mile przyjęci, ale zawsze z warunkiem bawienia gości, literaci pokazują się za osobliwość. Często przy bilecie zapraszającym dołącza się parę wierszy w których się oznajmuje, że sławny NN. będzie się stawić na wieczór, tak jakby NN. był wężei Boá, lub tygrysem do pokazywania za biletami.

Następują jeszcze mijając drobniéjsze podziały panie miéj-kie, żony kupców, właściciele domów, notariuszów, urzędników niższych i t. d.

Tych towarzystwo jest zawsze naśladowaniem któregośkolwiek z wyższych, tonem niżej o wystawę, dobry ton i smak.

Panie odsunięte od wstępu do domów klass

wyższych, umieją się im za to odpłacić ciągłym obgadrywaniem, które stanowi najmielszą zabawę wieczorów. — *La Chronique scandaleuse* całego miasta i wszystkich arystokracji, tu najspieszniej się rozchodzi, najczęściej opowiada, i największe wzbudza oburzenie. — Wszyscy bywają w domach tej klasy średniej, prócz kobiet kulawej reputacji, które się całkiem nieprzyjmują, bo w modzie jest narzekać jak najwroczyściej na zepsucie obyczajów, wcale się tём nie obowiązując do nadto skrupulatnego rodzaju życia. Kobięty *zamężne* jak tylko są *zamężne* już są w tych domach przyjęte, nie patrząc co tam dawniej było — wszak i święci grzeszyli.

Prawdziwe mieszczanki, żony rzemieślników, kupeczyków stanowią szczebel przedostatni, wesołe kobiety, wielomówne, zawsze jednak z pretensjami do jakiegoś tonu.

Ominąłem jednak wielką jedną klasę kobiet, które nie wiem jak nazwać w naszym języku.

Żyją one wystawnie, bogato, z sobą tylko się komunikują, i nudzą się mimo zabaw, zbytków, strojów. U nich wszelkiego stanu zbierają się mężczyźni młodzi; ton towarzystwa po większej części jest taki jaki był

jeszcze za pseudofilozoficznych Wolterowskich czasów. Śmieją się z *convenansów*; z bigoterij, z sentymentalizmu zdaleka, z towarzyskich praw, uwielbiają narody dzikie, jak to było w modzie w XVIII wieku i co najgodniejsza uwagi wszystko to robią rutyną, bez przekonania, stosując się zasadami do życia, a chcąc przez to pokazać, że życie stosują do zasad. Najzapalczywsza gra w takich domach się spotyka — jedną z cech kobiet tej klasy jest powierzchowne uszanowanie dla nauk literatury i artystów, chociaż ci ostatni, jako po większej części ubodzy nie bywają tutaj, nie mogąc się wcisnąć, tam gdzie rekomendacja złota wprowadza tłumy bankierów, bogaczów, dyplomatyków. — Te kobiety bezimienne zostają zwykle na koszcie jednego z tych panów, są i inne mniej bogate, zazdroszczące serdecznie pierwszym, których *in votis* stanowi szal Indyjski, potem pojazd, potem wszystkie wymysły zbytku. Wszystkie prawie kończą okropną nędzą, lub na urzędzie otwierania łóż (*ouvreuse des Loges*) w których przedtém siadywały w perłach i djamentach.

O Gryzetskach nie śmiém nic mówić, są to najweselsze w Paryżu istoty, w dzień pracują po magazynach, wieczorem tańczą

lub sentymentalną prowadzą rozmowę z uczniami Medycyny, zawsze w ustach mają jakiś przysmarzek i żart, w ręku robótkę, w oczach pustotę i uśmiech obojętny na przyszłość.

O reszcie zamilczę.

Teraz mężczyźni — ci naturalnie dzielą się na tyle klas ile kobiety, z tą różnicą, że się bardziej mięszają, nie tak wyłącznie *swoich* pilnują.

Widzisz ten tilbury tak świeży, jak tylko co zerwany owoc z drzewa, w nim rozparty, w pół leżący waha się, kołysze, uśmiechający bogacz, który po czekoladzie jedzie w rannym stroju na Bursę. — Dobrze nowiny widać na jego czole, z pojazdu rzuca znajomym mijającym się z nim przywitania, zaproszenia do *Very* lub innego restauranta, zapytania, a to głośno, tonem któremu pewności, lub drżenia, dodają okoliczności Bursowe.

Ten drugi w kabriolecie wyprostowany, który niespokojnie patrzy na zegarek, jest to aspirant do milionów, uśmiech jego już przyszłego zapowiada bogacza.

Ten staruszek z krzyżykiem u fraka, za którym idzie galonowany lokaj ziewając, mierzy prosto na bulewary ogrzać się na słońcu,

powzdychać z dwóma przyjaciółmi nad dawnemi czasami, zregulować zegarek i kupić tabaki, której codzienną świeżą prowizją sam sobie zwykł przynosić. Pamięta on dobrze 94 rok i trzy razy na dzień opisuje postęchanie swoje w gabinecie Robespiera, węzeł u chustki S. Justa i plamy na twarzy Marata i policzek ściętej głowie jego zabójczyni.

I znowu Kabriolet — leci, pędzi, w nim dwóch młodych przyjaciół, — jadą na śniadanie do nieporównanej Henrietty, która się śmieje z nich obu. Oba pochlbiają sobie, że ich kocha, oba wiozą jej dary, od obu przyjmuje ona i z obu się śmieje. Jest tam żółty Nabab zaschły jak mumja, którego ona więcej szacuje, nad ich wszystkich, bo Nabab, dał jej już cztery szale!! Młodzi kryją niby przed sobą swoje szczęście, lecz jedno słowo przypadkowe, wyprowadza cały rój zwierzeń, które dowodzić mają, że Henrietta ich kocha, a dowodzą tylko że ich zwodzi. Cztery szale więcej warte od dwóch kochanków, jest to matematyczna prawda.

Widzicie jeszcze tę postać otyłą w tabaczkowym fraku, brudnych rękawiczkach, z kosmami oczyma i ogromnemi dewizkami na brzuchu, jest to pasorzyt mieszczanin (bourgeois

parasite). Idzie i zagląda w okna, kłania się znajomym, potem z nowinami, których ma pełną gębę, leci, gada—gada—aż dają do stołu, je obiad, kłania się, wychodzi, i tak dalej, jego kieszenie są składem najosobliwszym encyklopedycznym, nót, perfum, piosunczek, starych gazet, descui, szpilek i wszystkiego, czém się można damom przysłużyć. Z jednego domu wynosi on po większej części, to co w drugim szafuje. Jego majątek, urodzenie, zatrudnienia, mieszka—nie są nicrozwiązaną zagadką.

Patrz jeszcze, oto jedzie godna oryginału. kopja Don Juana, blady, znudzony, kaszlący, patrzy tylko na kobiety, które na niego nie patrzą, myśli o nich tylko, żyje niemi, kocha je i zdradza, pieści i obmawia, przysięga na wieczną miłość, jak stary romans, a śmieje się z niej jak stary Kawaler. Poleciał za gryzetską—potem pojedzie do tancerki, do Hrabiniéj N, do panny N, o którą się stara, do staréj Vicomtessy N, która mu pożycza pieniądze, do biednéj N, żeby dla jéj udręczenia śmiać się z miłości i przysiąg.

Ale nie jeszcze nie mówiłem o Artystach i Literatach Paryzkich. Dwie klasy jest tych i drugich — sławni i szukający sławy.

Pierwsza spoczywa już na swojej sławie,

księgarze płacą, dyrektorowie teatrów płacą, wszyscy im płacą pieniędzmi i pochwałami, oni jakby się do szczytu dobili, biorą pieniądze i pochwały obojętnie, tracą złoto, trwonią sławę, nie nie robią lub robią niedbale, od niechcenia, jak z łaski, i krzyczą na świat który ich nie rozumie, nie pojmuje, nie ceni.

Drudzy z zazdrością patrzą na pierwszych, pokornie kłaniają się wszystkim, chodzą w sukni wytartej, szanują księgarzy, wielbią publiczność, gardzą pieniędzmi a żądają ich skrycie. Ci w czasie swego nowicyatu, piszą, malują z zapalem, z natchnienia, z powołania, cierpienia moralne, niedostatki, udręczenia, rozwijają w nich jenuusz, jak targanie sznurka, pomaga latawcowi do wzniesienia się. — Gdy jeden z takich przychodzi do księgarza, on go mierzy od stop do głowy, dwóma palcami bierze rękopism, rozwija, zażywa tabakę—obojętnie kładzie na stoliku i prosi o zostawienie go.

Autor wychodzi, wybiega, wylatuje na skrzydłach nadziei, we dnie marzy o sławie i pieniądzach, w nocy śni mu się bal, oklaski na teatrze, uśmiechy kobiet — całe rojone szczęście.

Na dzień, na godzinę, na minutę wyznaczoną, stawia się nasz autor do księgarza, je-

śli ten za poradą czyją odrzuca pismo, robi to zimno, ale grzecznie, wymawia się, bierze łaskę i kapelusz, żeby prędkiej wyprawić natręta — i zabija na długo sny i nadzieje.

Jeśli przyjmuje pismo — prosi siedzieć — potem idzie po rękopis, wraca przerzucając go, siada i milczy.

— Pan to chce sprzedać?

— Życzyłbym sobie.

— Jest wiele życia w tém piśmie — ale niewprawność — nazwisko mało znajome.

— Pan tego nie życzy sobie nabywać? —

— I owszem, ale —

— Cóż?

— Potrzebuje wiele odmian — poznamy-
łem je tutaj czerwonym ołówkiem.

I już o swój drogi rękopis niespokojny autor, chwyta go, wydzięra, wlepia oczy w czerwone rysy ołówka i znajduje naprzód podkreślony tytuł.

— Tytuł!

— Zdaje mi się niestosowny. Niech pan o tém pomyśli i raczy mnie odwiedzić, w tej chwili tak jestem zatrudniony.

To znaczy — idź sobie — jakoż zmartwiony pisarz odchodzi, martwi się, rozpacza, nazajutrz poprawia, bo nie ma grosza w kieszeni — niesie pozajutro.

Księgarz przyjmuje go zimno, kwaśno.

— A! to ten rękopism! woła z przekąsem.

— Tak jest — poprawny, według życzenia.

— Będę go drukował. — Co się tycze honorariów, zobaczym po rozkupieniu pierwszej edycji.

— Lecz ja —

— To panu niedogodne? — zostawiam do woli — istotnie zawałony jestem rękopismami — Najniższy sługa.

Otoż wychodzi autor zmartwiony znowu, idzie do drugiego, trzeciego, każdy każe mu poprawiać, każdy go potem niczém zbywa. W tym przeciągu czasu, biedny nieznajomy, pisze za kilka franków artykuły do Magazynów, *Revue*s, gazet, śpiewki do Wodewillów, wszystko dla chleba, i chcąc przecie ujrzeć swoje drogie dzieło drukowaném, wraca do pierwszego z księgarzy, oddaje mu je darmo. Ale już wówczas P. Księgarz go nie bierze. Po wielu nareszcie zmartwieciach i zabiegach, które mu część życia zjadły, drukuje swoje najukochańsze dziełko, gazeciarze wyśmiewają je, dla zapchania miejsca w swoich pismach, i na tém się kończy urojona sława. A jak powiada Bulwer, młody pisarz żeni się ze swoją kuzynką i na wsi osiada, jeśli ma

gdzie osiąść, jeśli nie, — ginie powoli z nędzy, zmartwień i zawiedzionych nadziei.

Tegom to się wszystkiego napatrzył w Paryżu, więcej niż Bursy, gmachów, mostów, widowisk teatralnych i Kościoła N. Panny, który P. Hugo tak dobrze opisał, że tego opisania zrozumieć nie można. — *A propos* tego romansu, mam sobie za obowiązek sumnienia zrobić uwagę, że jedna z głównych figur *Quasimodo*, jest kopią Shakespearowego *Pulibana* (w *Burzy*, którą uważają za najpierwsze jego dzieło.)

Nakoniec zacząłem się nudzić w Paryżu, tak, że nawet plotki i nowiny mego *Larose*, który jak Figaro wszystko wiedział, zabawić mię nie mogły. Jednego wieczora wybrałem się w drogę i stanąłem na noc w Konstantynopolu.

Było już tak późno, że się ledwie do jakiejś gospody, na przedmieściu *Pera* dostałem. Otworzył mi stróż spiący i zły, tak, że mię nawet koniecznym *Salem alejka*m od ziemi nie przywitał. W wielkiej izbie, do której mnie i mój tłumoczek zaprowadził, spali pokotem kupcy Europejscy, kilku ubogich handlarzy krajowców i kupa towarów leżała w kącie. Dusznio było jak w piekle, chociaż kamienna podłoga, osłonięta i male

okna w dzień na nocny zapas, nie powinny były dopuścić upału. — Rad nie rad, musiałem się głodny położyć i ledwie kwadrans spałem z całej nocy.

Nazajutrz rano jakoś mi się dziwno zdawało, że cicho było na ulicach, wszyscy posuwicie chodzili milczący, nikt mnie nie zaczepiał, *Larose* nie paplał — i sam nie wiedziałem co robić.

— Muszą jednak być rzeczy godne widzenia w starożytném Bizancjum, pomyślałem, lecz kogo by się rozpytać? Kto mnie poprowadzi—fiakrów nie ma w Stambule. Z dobrą wiarą Europejską oddałem mój tłomoczek do pilnowania słudze, a sam na losy się zdawszy, wyszedłem.

Ulica była szeroka i pusta — mur otaczał ją z obu stron i pozamykane drzwi domów i ani jednego okna. Środkiem cicho szli Turcy, niektórzy rozmawiali z sobą, szli żydzi w odznaczających się ubiorach z odznaczającą się twarzą — szło kilku Europejczyków, tak nieukontentowanych jak ja — szły obładowane wielbłądy z obdartemi swemi przewodnikami. Przemykały się niewolnice Turczynki, ciężkie, otyłe, zawinięte w zasłony po same oczy. Przyszedłem na Bazar, zobaczyłem kupę towarów, kupę ludzi i nie

więcej. Poszedłem dalej do portu, słyszałem całe życie, że to jest najpiękniejszy port w świecie. Widziałem wodę tylko i okręta — a to nie żadna osobliwość. Poszedłem do Meczetu sławnego, który był niegdyś Kościołem św. Zofii, zobaczyłem bryłę kamieni i stado wieżyczek — wracałem nicukontentowany — i czułem, że mi się strasznie jeść chciało — a z całego obrazu Konstantynopola, zostały mi się tylko wielbłądy, których chód ciężki czułem na mojej głowie. Zdawało mi się, że jeden z nich obrał sobie stajnię w moim mózgu.

Niewiem już po czém i jakim sposobem poznałem kawiarnię, i wszedłem do niej. Brudno było i cicho jak w pustej oborze. Kilku Turków pilo Kawę w małych filiżaneczkach i paliło brzydki tytuń, bo i w tym kraju nie wszysej dobry tytuń palą — a dym, który mnie otaczał, podobniejszy był do spalonych liści jakiegoś ziele — niż do tytoniu, wprawdzie ci co go palili, chociaż bardzo poważnie założone mieli nogi na dywanie, dosyć obszarpane suknie na grzbietach nosili. Nie pytając się mnie chłopiec mały, przyniósł mi Kawy niby to po naszymu zrobioną, tęgiej jak ekstrakt, gorzkiej jak Kubeba, gorącej jak sam ogień i dosyć gęstej, ale je-

dnak zasłodzonej i niby precedzonej. Podał mi także cybuch: a nie mogąc się rozmówić z nim o lepszy tytm, i ten przyjąc musiałem. Wszyscy milczeli i ja — zacząłem drzymać z głodu i znużenia, pod wpływem usypiających dymów.

Straszne były marzenia moje, jakbym je przez czarnoksięską moc opium sprowadził, snił mi się meczet Sułtana Achmeta, turban, morze, pełne czarnej kawy, i ulice pełne dymu tytuniowego — głowę moją deptały wielbłądy, na piersiach leżały paki towarów, wszystkie przedmioty które się przez dzień przed mémi oczyma przesunęły, przyszły mię dręczyć we śnie. Obudziłem się, gdy towarzysze moi Turcy czynili ablucje i wychodzili z kawiarni. Jeden z nich tylko siedział jeszcze nad fajką i przez kłęby dymu widziałem chłopca posługacza, który mi patrzył w oczy, jakby wyglądał mego przebudzenia. Myślałem jak trafić do gospody? po nocy, bo zmrok już zapadał? nieznając nic a nic miasta i ślepo się w nim na przypadek kierując — zapłaciłem, i powoli, jakby mi te myśli kajdany włożyły na nogi, wychodziłem z kawiarni. Turek powstał także, zapłacił i brał się do drzwi, tak, że razem wyszliśmy na ulicę. Poszedłem na los,

prosto przed siebie — Turek ślad w ślad coraz się ku mnie zbliżając, ścigał mnie — przyznam się po prawdzie, że mnie to trochę niespokojnym uczyniło. Lecz chwila rozważagi odpędziła bojaźń — odbierze mi życie, myślałem — cóż ono warto?

I szedłem, a Turek za mną. W jednem miejscu rozdzielały się dwie szerokie ulice — Księżyc świecił — psy wyły — gdzieś niedaleko przesuwały się mgliste postacie ubogich, wysokie, groźne, przypominały mi się wszystkie pacierze, jakie mnie od kolebki uczono. W téj chwili Turek zbliżył się do mnie, tak, że uczułem szeroki jego kaftana rękaw na mojej sukni — odskoczyłem — on po cichu, zepsutą francuzczyzną, słabym głosem zapytał mnie.

— Czy nie jesteś francuz?

— Nie — odpowiedziałem, ale jadę z Francyi.

— Czoło jego wyjaśniło się, zdawało mi się że widział łzy w oku, złożył ręce i zapytał.

— Nie powiesz mi co o Francyi!

Zdziwiony tém żądaniem, wahałem się.

— Dokąd idziesz? zapytał cicho.

— Do gospody w Pera.

— Tą stroną.

— Nie wiem drogi.

— Gospoda zamknięta, późno już — rzekł błagającym tonem, pójdź i przenocuj u mnie — powiesz mi co o Francyi.

Przeględniony, nie wiedząc co robić z sobą, dałem się Turkowi poprowadzić jak dziecko. Nie wiem dla czego mileżał, a jeśli mówił to bardzo po cichu. Po wielu zakrętach, doszliśmy nakoniec do jednych drzwi, przy których się zatrzymał i stuknął trzy razy. Stara niewolnica czarna przysłała nam mrucząc otworzyć i za nami zaraz wchód ogromnym drągien założyła znowu. Turek chwyciwszy mnie za rękę, prowadził przez ciasny dziedzińczyk do domu, powiedziawszy coś wprzód słudze.

Weszliśmy do izby chłodnej i ciemnej, a gospodarz zawsze zepsuta francuzczyzną prosił mnie, żebym chwilę na niego poczekał i sam wyszedł. Różne myśli roily mi się przez krótką chwilę jego niebytności. Ujrzałem nareszcie światło przez matę zawieszoną we drzwiach wewnątrz domu prowadzących i wszedł ón, a za nim niewolnica ze światłem; — usiadł przy mnie, ścisnął mię za rękę i westchnął.

— Jestem Francuz, rzekł potem, lat już dwadzieścia temu, jak kraj mój opuściłem. Uciekłem z domu dla różnych przykrości,

których od macochy i ojca doznawałem. Długo by było opowiadać ci przypadki, jakie mnie tu przyprowadziły — utrudziłbym cię próżno malowaniem moich boleści, tęsknoty za krajem, żalu po swoich. Niéma i jednego Francuza w Konstantynopolu, którego bym z kolei nie pytał — nikt mi nie dał z Montauban wiadomości. Może ty mi co powiesz?

— Cudzoziemiec jestem i nie byłem w tój stronie.

— Ale wracasz z Francyi?

— Z Paryża.

— Widziałeś Francją! szczęśliwy — widziałeś prawdziwy świat, nie to piekło Turckie. O! zawołał, gdybyś wiedział, jak ciężko jest pokutować, za chwilę obłąkania! Mniejsza o nędzę, — niedostatki, chorobę, — ale tu! tu, dodał pokazując na serce, tu ja noszę najstraszniejsze męczarnie.

— Chcesz wrócić?

— Wrócić do grobów — wrócić, żeby mnie nie zrozumieli, nie poznali, odepchnęli. — Ach! gdybym mógł powrócić i znaleźć swoich — poszedłbym żebrząc do Francyi — z tego przekłętogo kraju. Dzień i noc widzę przed oczyma mojemu nasz domek za miastem, i ichy ogródek z ławką pod Kasztanem! —

Twarz jego przybrała wyraz smętny, ro-

spacz przeglądała przez oczy. Ja tam może nigdy nie będę, zginę między obcemi! — Żebym mógł tylko raz widzieć jeszcze te same miejsca, i choć jedną dawną znajomość, dałbym za to resztę życia.

Potém chodził, poruszony wywołanemi wspomnieniami — odwrócił się i zapytał mnie.

— Chcesz jeść.

— Cały dzień nic w ustach nie miałem.

Poprowadził mnie znowu i po kilku izbach, weszliśmy do jednej ciasnej, małej bez okna. Tu postawił światła i ujrzałem, że ozdobiona była po europejsku — znalazłem krzesło, kanapę, stolik.

Na ścianie wisiał w ramach czarny, mały obrazek jakiś, szczątki sukni, pistolet. — Na stoliku leżała książka obszarpana i brudna. — „Tu ja się dręcę sam jeden, rzekł gospodarz po chwili, dręcę się wspominając o tych szczęśliwych, którzy w naszej Francji, między naszymi żyją. — Mój Boże! mój kraju, ciężko pokutuję, żem was porzucił. — Tam, tam, chciałbym rolę orać, chciałbym być do galer przykuty, byle tam — byłem mógł widzieć jeszcze, te najdroższe miejsca, na których się zostały moje lata dziecinne, gdzie była matka moja. — Popłakałbym i na grobie ojca, który mnie z domu wypędził—

jam mu dawno moje nieszczęście przebaczył.

Niewolnica weszła i wniosła na pułmisku ryż z baraniną, jakieś kluski, pieczone i butelkę. Porwałem się zapalczywie do jedzenia — gospodarz niczego nie tknął.

— Tu człowieka nie rozumieją, głupcy brodate, nadęci swoją urojoną ważnością, pogardzają Europejczykiem, im się zdaje, że oni jedni z całego świata mają rozum i żyją, jak powinni. Jest to piekielna męczarnia, siedzieć otoczonemu temi bydlętami, których liarem, fajka i kawa, składają całe szczęście, całą rozmowę, całe życie. Wyobrazić sobie do jakiego stopnia żadna myśl naszego świata nie może być od nich zrozumiana, prawie niepodobna.

— Powiedz że imi, przerwałem najadłszy się: Dla czego w tym kraju, w którym kropla przemysłu i rozumu, może zrobić majątek, ty jesteś tak ubogi.

— Nie jestem ubogi, odpowiedział rene-gat, ale muszę udawać ubóstwo, żeby mnie nie odarli. Każdy, ktoby się spodziewał, że po mnie wezmie pieniądze, mógłby mnie zgubić, oskarżyć, znieść się z sędziami, narzucić potwarze, dowieść ich i wypędzić mnie z własnego domu. Muszę udawać ubogiego.....

To mówiąc, rzucił się na kanapę, a mnie

coraz bardziej w oczach ćmić się zaczęło i uczułem sen siadający mi lekko na powiekach. Nie słyszałem, czy mówił i co mówił więcéj.

Musiało być jeszcze bardzo rano, kiedym uczuł, jak mój gospodarz ciągnął mnie za rękę, żeby przebudzić. Słychać było w oddaleniu, jak Muezzin piszczącym głosem wołał na ranną modlitwę.

— Oto masz Kawę i fajkę, rzekł gospodarz, na chwilę wyjdę tylko, a potem odprowadzę cię do Pera.

W kwadrans powrócił i wyszliśmy oba na ulicę.

— W jakiej stoisz gospodzie? zapytał.

— Nicwiém, odpowiedziałem: — w jednej z pierwszych od wjazdu.

— Poznasz ją?

— Niewiem.

— Probuj — Przechodziliśmy koło gospód, ale wszystkie tak były do siebie podobne, żem nie wiedział do której wejść. Spostrzegłem nareszcie służkę, któremu oddałem mego konia i tłumoczek i zbliżyłem się do niego, pokazując mu, aby mi wydał moje rzeczy. Turek wytrzeszczył oczy, ruszył ramionami i uciekł. Opowiedziałem to zdarzenie renegatowi.

— Czy miałeś świadków? zapytał.

— Nikogo.

— Więc próżnobyś się dopominał — kup innego konia i jedź z tego przeklętego miasta.

Z pomocą renegata, dostałem konia i już dłużej nie czekając, pomyślawszy, że ciekawszy i weselszy musi być Madryt i Hiszpania — Pojechałem prosto do Hiszpanii.

Przybyłem wieczorem do Madrytu, była to niedziela; większa część ludności modliła się na nieszporach i miasto wydało mi się puste.

Upał dojmował jeszcze, bo słońce nie było zaszło. Słyszałem śpiewy w Kościołach — po ulicach; zrzadka przemykała się *Maja* spóźniona do Kościoła, nadęty *Hidalgo*, którego interes wygnał z domu. Ksiądz zakapturzony, lub cudzoziemiec, którego po niezgrabułem noszeniu płaszcza łatwo poznać można. Przypadkiem trafiłem do zajezdowego domu i w osłoniętej matami izdebce, upadłem na łóżko odpocząć.

Drzemiąc poznałem po szumie na ulicach, chwilę, w której zaczęto z Kościołów wychodzić, pod oknem słychać było przechodzące rozmowy, czasem śmiech suchy, krótki, urywany. Potem naokoło zabrzmiały gi-

tary, których oddalone dźwięki, otaczały mnie jak brzęczenia nocne komorów, do niektórych mieszały się głosy śpiewów. Nie wyszedłem jednak na ulicę, bo byłem tak drogą znużony, że długo za najwyższe szczęście uważałem, chwilę odpoczynku wyciągnąwszy się na improwizowanym łóżku.

Ciemno było, gdy mię wejście służącej obudziło, przyszła ona polać podłogę dla chłodu i podnieść mały okien dla wypuszczenia świeżego powietrza. Wówczas usłyszałem wpadający z ulicy szmer oddalonych rozmów i stąpania, podniosłem się i ujrzałem mnóstwo ludzi snujących się.

— Zapytałem, czego wyszli tak późno?

— Na przechadzkę, odpowiedziała mi służąca.

— Dokąd?

— Na *Prado* i *Puerta del Sol*.

Ciekawy poznać hiszpanów, wyszedłem i ja natychmiast, rozpytawszy się o drogę, na *Prado*.

Znalazłem plac niezbyt wielki, a na nim gęsto różnego rodzaju osób płci obojęj. Księżyc świecił, atmosfera była świeża, wieczór rokoszny, uczulem, dla czego mieszkańcy Madrytu wychodzili w nocy na przechadzkę.

Mimo mnóstwa osób, nie było wrzawy, tylko szmer głuchy i ciche rozmowy, wierzchołki zapalone cigarów, świeciły jak czerwone gwiazdki w oddaleniu, a z pod szerokich kapeluszów, połyskiwały czarne oczy hiszpanów. Kobięty wydały mi się zachwycające, małeńkie ich nożki, krótki ubior, powiewne zasłony i oczy, oczy, oczy, z których w każdym dziesięć tysięcy dusz zdawało się przemawiać językiem nieba, wszystko to odurzyło mnie, tak, że chwilę żałowałem, że się w tym kraju gorącym miłości i prostoty nie urodziłem.

Jeśli kto ma ochotę kochać się szalenie, być kochanym do śmierci z tym zapałem, który się zdaje tylko marzeniem młodej duszy nienasyconej, niech jedzie do Hiszpanii. Oczy kobiet zdają się mówić — *A hora y siempre! Siempre* którego gdzieindziej próżnobyś szukał w oczach kobiety, *Siempre*, którym Hiszpan miłość równo i zemstę ubraja.

Przechadzałem się tak z pół godziny, zadowolając wszystkim, którzy na tej ponurzej przechadzce, nie sami jedni mogli podwójną parą oczu pielgrzymować po wypogodzonem niebie i dwóma duszami czuć rozkosz spokojnego dumania i dwóma sercami przeżyć

tę chwilę, którą ja, tém bardziej sam jeden że obcy, smutno wy tęskniłem.

Zadzwoniono na *Angelus* — wszyscy ukłękli modlić się i ja z niemi, żeby nie być sam jeden, choć w tym jednym momencie. Potém niektórzy sunęli się do Teatru i ja znowu za niemi.

Po chwili znaleźliśmy się wszyscy w sali, łojowemi świeczkami skąpo oświeconej, wśród której stały ławki, naokoło były łóża, a w nich kobiety, te same kobiety z Prado, te same oczy, które mi siadły w duszy. Przed nami unosiła się podarta i wysłużona zasłona, zakrywająca jeszcze scenę, za którą długie stukanie młotkami, zapowiadało staranne jej ubieranie. Koło mnie siedzieli poważnie krajowcy z cygarami nicodstępniemi, i nieodstępną od nich atmosferą zapachów czoszczu i cebuli, która mi żydów naszych niezmiernie boleśnie przypominała.

Trzy razy zastukano, i zasłona podniosła się, za pomocą dwóch chłopaków, którzy ją zwijać zaczęli dosyć niezgrabnie. Dyrektor Teatru, który musiał jeszcze oglądać, czy wszystko było w porządku, zszedł powoli ze sceny za kulisy, po zdjęciu zasłony.

Zaczęła się sztuka nareszcie, od rozmowy między Rycerzem z *Donquichottowych* cza-

sów w papierowej zbroi, a kobietą, która siedziała w oknie. On przysięgał jej że ją kocha na wszystkich świętych i na Jowisza, ona patrzyła na niego w milczeniu, potem znikła z okna, pokazała się we drzwiach i poszła z nim razem. W ówczas z za krzaku wyszedł z jednej strony mnich, a z drugiej strony mąż tej pani.

— Czy nie widziałeś mojej żony? —

— Tylko co tu była.

— Sama?

— Z kimś jeszcze.

— Męszczyzną?

— Młodym.

— Gdzie oni są?

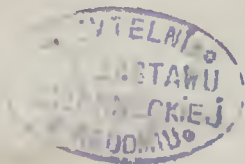
— Poszli.

— Razem?

— W tamtą stronę.

I mąż leci w pogoń na pięć minut, powraca zadyszany, wszyscy dają oklaski, kochankowie uciekli. Niewiedząc z ką, dla czego i po co, z za kuliss wybiegają Tancerki, zaczyna się Fandango, Bolero, piosneczki, oklaski, widzowie łączą swoje głosy z łoż i pierwszy akt się kończy.

W drugim akcie znajdujem czułą parę uciekającą przez las, napadają ich zbójcy, porywają Donnę Eleonorę, nadbiega mąż, po-



znaje niewiem jakim przeczuciem porywcę swojej żony i zaczyna się pojedynek, płaszcze są zatoczone na ręce, sztylety błyszczą, walka śmiertelna się zaczyna. W téj chwili sala teatralna ściemnia się, bo świece pokryte długimi knotami gasną powoli, a reszta ich chorowitego światła ledwie pierwsze otaczające je kłęby dymu przebić może.

— Światła, światła! wołają wszyscy — W tak decydującym momencie, scena i aktorowie zupełnie giną z oczu — Światła! — Słudzy krzątają się, i widzimy tych samych dwóch przeciwników pojedynekowych, zapalających nowe świece. Potém wszystko się uspokaja i pojedynek zaczyna się znowu. — Naśladowanie bitwy na sztylety jest wyborne, bo każdy hiszpan umie tą bronią dokazywać cudów i razem zwinętym około lewej ręki płaszczem, zasłaniać się od razów przeciwnika. W téj chwili z za drzewa pokazują się djabeł — oklaski na parterze, matrony w łóżach żegnają się i całują wielki palec, co jest wielkiego nabożeństwa znakiem; śmielsi przypatrują się djabłowi, jakby go brawowali. Djabeł popycha kochanka na męża, mąż pada zabity, a zabójca ucieka. I znowu zaczynają się tańce na scenie, arlekin, poliszneł śmieszą grubemi żartami pu-

bliczność dostojną, wywracają koziołka, skaczą, śpiewają — aż do Aktu Trzeciego.

W trzecim akcie Donna Eleonora, którą niewiedzieć na co zbójcy porwali, nicwiedzieć jakim sposobem powraca do domu, znajduję ją z Księdzem pierwszego aktu, który jęj prawi długie Kazanie, słuchane z uszanowaniem pobożném od łoż i parteru — Potém Mnich wychodzi, a drugićmi drzwiami wchodzi kochanek — następuje czuła rozmowa, w którój Donna Eleonora powiadamu, że chociaż go kocha nad życie, musi jednak zamknąć się w Klasztorze, ponieważ on zabił jęj męża (zkađ o tém wić?) ku któremu czuła także wielki szacunek i wdzięczność — po czém wychodzi okryta zasłoną, a przez górę, dół i boki sceny, wpadają diabli, tańczują Bolero i porywają kochanka w papierowych kajdanach do piekła.

Nakoniec Arlekin z całą swoją rodziną, występują jeszcze, świece gasną i wszyscy się z Teatru rozchodzą.

I ja wycisnąłem się z tłumem, usiłując jakkolwiek trafić do domu. Chociaż późna noc była, mnóstwo jednak kobiet i męszczyzn przemykało się ulicami, brzmiały gitary, rozchodziły się zapachy kwiatów z tarasów i balkonów, wszystko żyło jeszcze, tém cichém,

tajemniczém życiem nocném, którego północne kraje nasze nie znają.

Żał mi było kłaść się spać, tak piękna, poetyczna noc Hiszpańska opanowała mnie i oczarowała.

Nazajutrz chodziłem patrzeć Eskuriału, obzedłem Kościoły, kąpałem się w Manzanaressie, jadłem pomarańcze, piłem Xeres wyborny i sprzeczałem się pół dnia z gospodarzem, o nogę jednego krzesła, której mu brakowało.

Następnego dnia kupiłem na gościńce do domu, dwa rożance z pestek oliwnych i szkaplerz, sobie pudełko havańskich cygarrów i sztylet.

W piątek ziewałem, bardzo było gorąco.

W Sobotę widziałem walkę Byków, na której mało mnie nie uduszono.

W Niedzielę w Kościele S. Franciszka słuchałem Kazania fantastycznego, ojca Tomaso — i zakochałem się w przejeżdżającej nieznanomiej, tak, żem za nią obiegał całe miasto.

W Poniedziałek dostałem pod imieniem nieznanomiej *rendez-vous* w jakimś ogródku, gdzie mnie okradziono, wieczorem wyjechałem do Berlina, przeklinając oczy hiszpanek i złodziejów.

We Wtorek stanąłem w Berlinie pod *Złotym orłem*, jadłem fasolę i sztukamięs, piłem kawę, która mi przypomniwała Konstantynopol.

Wszystko tu było zupełnie inne, jak gdzieś indziej, ciche, prozaiczne, niemieckie, w każdym kroku słyhać było pieniądze, wszędzie trzeba było płacić, otaczający Niemcy, zimni, otyli, ucywilizowani, rozumni, czytali gazety, kiwali głową i palili fajki.

W Kawiarniach słyhać było piwo i Kna-ster, każdy pan miał z sobą sługę, pudła, który przychodził z nim, stawał za krzesłem i na rozkaz popisował się z coraz nowemi sztukami, których go ciągle uczono. Nigdzie śladu namiętności, wszędzie flegma, rozsądek, rachuba — zapowiadała w tém mieście świat daleko inszy od Hiszpanii, regularny, nakręcony jak zegarek, metodyczny i zimny. — W Kawiarni, do której zachodziłem po przechadzkach, słyshałem ciągle o ulubionym autorze fantastycznych powieści Hoffmianie; po-ccziwi Niemcy, mówili, że był słaby od niejakiego czasu, martwili się tēm, i starannie wypytywali się o nowiny jego zdrowia i humoru, każdego wchodzącego z jego znajomych.

Równie z niemi interessowałem się nim,

a to tak dalece zyskało mi u nich przyjaźń, że jeden młody człowiek, obiecał mię wprowadzić do Kawiarni Hoffmana, jak tylko on wyzdrowieje i znowu co wieczora zacznie przychodzić do ulubionego bohlu punczu i fajki.

Długo czekałem na to, aż raz nareście, dali mi znać, że się go spodziewają: Przyszedłem o godzinie ósmej, jego jeszcze nie było, dobrą godzinę strawiliśmy gawędząc nad fajkami, dziewiąta wybiła, nie przychodził do zapalonego punczu, do Wina Reńskiego, które na niego czekało, do fajki nałożonej stojącej w kącie, której nikt dotknąć nie śmiał.

Miejsce na którym siadywał było próżne, siedzieliśmy zawiedzeni i smutni, nie tykając szklanek, nie zapalając fajek, które coraz częściej gasły, w miarę jেকেśmy go dłużej czekali.

Powiadano mi, że to jego opóźnienie było cudem prawie, gdyż zawsze przychodził po natchnieniu za ten stół, na którym jego ręce, wygładziły drzewo, jak lwie łapy w klatce. Chyba chory, mówili wszyscy, chory, może umarł, bo niepodobna, żeby mając jeszcze dość sił na wyjście z domu, nie przyszedł o swojej godzinie.

Miał żonę dobrą, miłą, spokojną, cichą. ko-

biętą bierną, bez swojej woli, posłuszną, która by samego djabła zatrzymała w domu łzami i prośbami; płakała, prosiła go na klęczkach, a on wymykał się jednak w nocy, w wiatr, burzę, słotę i przychodził pić i gawędzić w swojej kawiarni. Osobliwie po śmierci ulubionego kota Murra, czując potrzebę roztargnienia, nigdy nie chybił wieczora.

Miał przyjaciół, którzy go chcieli wspólnie z żoną, od tego rodzaju życia oderwać.

Miał pseudo-protektorów, którzy dogmatycznym tonem, starali się próżnemi sensu uwagami zbrzydzić mu to życie, dać mu uczuć przyjemność wyższych towarzystw — z tych śmiał się z nami. — Bo, kto mu tylko mówił przeciw fajce, winu, i wolnej kawiarniej gawędce, mógł przemawiać do niego imieniem sławy, rozumu, majątku, nadziewać swoją mowę maxymami siedmiu mędrców i aforyzmami wszystkich filozofów, jak tylko mówił przeciw temu, co Tcodor lubił, kochał, wszystko było napróżno. Gdyby za jego czasów nie było kawiarni, byłby je utworzył, tak ich potrzebował.

A ludzie zimni, methodyczni, którzy od dzieciństwa robią systemat całego życia i plan na wszystkie dnia godziny, ci ludzie nie poj-

mując jego życia pełnego wrażeń i dumań, nazywali go po prostu pijakiem.

On z uśmiechem rezygnacyi, słyszał o tém, nie troszczył się wcale, rzadko się gniéwał, częściej daleko śmiał się i robił swoje.

Wybiła dziesiąta, nie przychodził, zaczęliśmy być niespokojni, czy nie zaśląbł znowu.

— Może pisze jaką powieść, albo partyturę swojej operetki, odezwał się jeden.

— Skończy dziś pewno *Garnek Złoty*, rzekł drugi.

— Może rysuje jaką chmurę dziwnaczego kształtu, spostrzeżoną na wieczorném niebie, przerwał trzeci.

— Zobaczym jutro.

— Dowiemy się.

I smutni szli wszyscy ku drzwiom, a ja za niemi.

— Dobra noc.

— Dobra noc.

Jużeśmy wychodzili, gdy zdala dało się słyszeć stąpanie, znajome dobrze przyjacielom, Hoffmana. Zatrzymali się — kroki się zbliżały — słyszeć było chód prędkiej, bez myśli, machinalnej, nie regularnej, raz dzwierząc w korytarzu, jak młot północny w pustej kuźni, to znowu lekki, cichy, kobięcy,

rozchodzący się po sklepieniu, jak zadęcie w pękniętym flecie.

Nakoniec ukazał się Hoffman — Oczy miał iskrzące, usta konwulsyjnie ścisnięte, włosy rozwiązane, suknie rozpięte. Wszedł bez rękawiczek i kapelusza, jakby tylko z drugiego pokoju.

Zatrzymał się koło progu, spójrzał na wszystkich i zawołał.

— Uciekacie przed północą, nie czekając na mnie, czyli to uczciwie? czy to po przyjacielsku? —

— Już późno! — odezwał się jeden.

— Późno! tak, już zapóźno — masz słuszość, idźcie, jeśli chcecie — już późno — ja zostanę. Punczu! zawołał i usiadł na swoim miejscu, nic nie mówiąc więcej.

Milczał, dumał, widać było przez czaszkę, jak myśl jakaś mózg mu wyjadała. Nie poruszony jak posąg, patrzył w jedno miejsce, usta mu drżały, powieki błękały się nad zapalonemi oczyma. Przyniesiono puncz, zrobiony wprawnnemi rączkami białej Lottchen, puncz morski, który ze krwią złączony wrzał jak lawa w żyłach. Teodor zaczął pić, nałożył fajkę, i po chwili milczenia, zamruczał wyrazami niezrozumiałemi: —

— Muszę być szalonym, szeptał — albo

wielkim człowiekiem. Przychodzą mi czasem myśli, które tylko w głowach tych dwóch rodzajów ludzi urodzić się mogą. Widzę rzeczy inaczej jak wszyscy, nikt mnie nie rozumie. Sąż moje myśli exkrementami chorągłowy? Wielkie czy szalone, niepojęte czy nierozumne?

— Wiécie, zawołał głośno po długim przestanku, — zaczynam wielkie dzieło in folio: systematyczne, poważne, uczone, nieśmiertelne.

— Cóż to takiego? zapytali znajomi.

— Wy mnie nie rozumiecie, nie czujecie; odpowiedział — trzebaż wam mówić wszystko, od A do Z, jak pięcioletnim dzieciom. Czy nie widzicie mojej myśli w oczach, na czole, nie przeczuwacie nic, trzebaż wam słów, zawsze słów i słów tylko?

Zamilkł znowu, widząc zapewne, że pomysł, który mu się tak świetnym i szczęśliwym wydawał, przeszedłszy przez opowiadanie, straciłby może wiele na wdziękach. Lecz wkrótce uległ potrzebie mówienia i wstawszy, chodząc, patrząc w ziemię, rzucając dym kłębami, rozprawiać zaczął.

— Przedsiębiore wielkie dzieło — *Monografią Głupstwa*. Rozbieram, anatonizuję tę chorobę umysłową, dzielę ją na rodzaje,

gatunki, rzędy, klasy, śledzę przyczyny materialne i intelektualne. Uważam ją jako defekt organiczny mózgowy, potem jako słabość moralną, pochodzącą z braku wychowania. Nie widzieć, jak zajmujące będzie to dzieło, jak nowe, jak użyteczne nareszcie, bo go chcę sumiennie wypracować pod wszystkimi względami. Dodam jeszcze historję rozumowaną, wszystkich głupstw ludzkich popełnionych od początku świata. Wszystkie narody przyjdą tu złożyć po częste rysów do tego obrazu wielkiego, daleko więcćj zajmującego, niż bladę, wysilone frazesy Pana Rio.

Dzieło to będzie niemieckiem co do formy, uniwersalnem dążnością — będzie to wielka praca! wielka! ale mam nadzieję, że nie próżna.

Niektórzy ze słuchaczów uśmiechali się, zakrywając dymem, ale wzrok jego magnetyczny, przejrzał przez kłęby Knastru. I z niecierpliwości rozbił szklanę i rzucił fajkę o ścianę.

— Śmiejecie się, wykrzyknął — nie chcecie zrozumieć, pojąć myśli, skutków. — Głupstwo, jestże tak małą rzeczą? Dokładne jego poznanie nie jestże interesującym dla wszystkich? — czyż nie dla tego nazywamy

jednych mądrymi, że drudzy są głupi? Byłoby światło, gdyby nie było ciemności? — Wszak wszystkie wiadomości ludzkie są względne; i powtarzam wam: mądrzy są mądrymi tylko względem głupich — byli by głupcami, w porównaniu z wyższą mądrością, gdybyśmy ją znać mogli. Poznanie systematyczne tego, co nazywamy głupstwem, poparte postrzeżeniami Galla, Spurzheima, Blumenbacha, będzie nową cegłą do gmachu zaczętego psychologii i medycyny rozumowanój. — — — Znowu śmiech słyszę! przerwał — śmieJCie się, śmieJCie, drzyJCie mi duszę, tym szatańskim sceptycznym śmiechem. — ŚmieJCie się, śmieJCie. Moja myśl będzie mi tarczą od waszego śmiechu; prześliznie się po mojej duszy, jak noż po kamieniu.

Przyjaciele zapewnili go, że nikt się nie śmiał.

— To ten zielony szatanek chyba, co za mną chodzi wieczorem i skrzeczy jak żaba, rzekł Hoffman, nalewając szklankę, ale ja mu dam rady. On to zadusił mi Murra! —

Potém milczał i chodził, lecz dręczony swoją myślą, nie mógł się jój oprzeć długo i znowu zaczął.

— Głupstwo, jest to nazwanie generyczne, znaczy ono brak rozumu; a jako rozum wedle

Kanta jest podwójny, tak i głupstwo musi być także dwoiste, theoretyczne i praktyczne, nieczynne i działające. Wszyscy pod pewnym względem mamy swoje głupstwa, to się nazywa grzecznie słabą stroną człowieka. Ścisłe badanie ludzi, przekona, że niema i jednego, któryby nie miał swego rodzaju głupstwa.

Dziękuję tę chorobę na:—

Kretenizm, słabość organiczną —

Stupiditas, w lżejszym stopniu podobną do pierwszego. — Potem idą: Głupstwo dzielące się na wiele drobniejszych rodzajów, Szaleństwo, Obłąkanie, Monomania i t. d. i t. d.

Pod względem sztuki, trudno niewiedzieć, jak ten przedmiot jest bogaty, rozmaity, płodny, świeży!

Same głupstwo da się podzielić, na filozoficzne, w sposobie Djogenesa i Empedoklera, literackie, religijne (zabobonność), zupełne (niezdarność do interesów) dumne, umiarkowane i pokorne. Do tego łączą się mniejsze wspólne wszystkim ludziom obłądki, będące w nich częścią *ja* czynnego, nie *ja* patrzącego (observatif), w którym się mieszczą inne głupstwa rodzaje, prawie wszystkie.

Pewny jestem, dodał, że nierozumięcie te-

go podwójnego *ja?* muszę wam to wytłuma-
czyć.

I Teodor napił się znowu punczu, zapalił
fajkę, i już usta otwierał, gdy jeden z jego
przyjaciół, wskazał mu zegar, którego dwa
palce, założone na siebie, spoczywały na li-
czbie.

XII.

— Niech lichy porwie czas i godziny, za-
wołał Hoffman wstając i znowu rzucając się
na krzesło, nie można, spać, kochać, myśleć,
próżnować, żeby te przekłete zegary, nie sta-
nęły nam na drodze i nie pokazały nam szy-
dersko, jak śmierć idzie prędko na nasze
spotkanie. Bo czas sam jest śmiercią!

To mówiąc zasnął Hoffman, a myśmy się
rozeszli, widziałem go potem kilka razy, ale
już nigdy o Monografii nie wspomniał.

Pomysł ten wyczerpnięty za pierwszym
ukazaniem się w głowie, skonał tego samego
dnia, którego się urodził.

Pojmowałem częściej go słuchając, dla cze-
go taki był ścisk w kawiarni, do której przy-
chodził wieczorem. Fascynacja jego mowy,
ciągnęła tam przez ciekawość, a kto raz wszedł,
jak królik do klatki grzechotnika, już zostać

musiał, i powracał póty póki tylko mógł. Często Hoffman był ponury, dziwaczny, czasem hardzo żartobliwy i wesoły, tak, że można było chorować od śmiechu, który w nas wzbudzał. Pamiętam, jak dzisiaj, drugi wieczór, na którym w sposób najdziwniejszy, powiedział nam coś o ludziach, pamiętam uśmiech jego bolesny i szyderski, kiedy temi słowy zaczynał, stawiając z całej siły próżną szklankę na stole.

— Wielka szkoda, że dotąd nikt o ludziach nie pisał prócz ludzi, ilebyśmy to nowych zupełnie rzeczy dowiedzieli się o sobie? — My, choćbyśmy się starali pisać najbezsronniej, zawsze myśl okuta w cielesne wyobrażenia, w głowie ludzkiej wylęgła, przez usta ludzkie przedystylłowana, będzie różna formą, a jednakowa istotą.

Gdyby to choć na chwilę można się odczłowieczyć?..... Ekzaltacja jest wprawdzie rodzajem odczłowieczenia, pomysły jej śmiałe i zadziwiające, często się wznoszą nad zakres zwykłych wyobrażeń — lecz w najbardziej ekzaltowanej ekzaltacji czuć ciało i ziemię. Człowiekiem jest zawsze i wszędzie tylko człowiekiem. Jeśli nawet pod twardą jego czaszką urodzą się myśli nadziemskie, utoną w oceanie słów niezrozumiałe i poło-

wa ich zginie, nim się na papier przeniosą; bo na wiele uczuć i myśli, nie ma słów w języku, okalać je trzeba długim szeregiem frazcsów, a w środku zamiast myśli, zostanie tylko przestrzeń ugnieciona na formę pierwszego wyobrażenia,

Od najmniejszego robaczka, do najpoufalszego ludziom zwierzęcia, każde stworzenie inne ma wyobrażenia o człowieku, a w milionach ludzi niema może dwóch, którzyby sobie siebie jeduakowo wyobrażali.

Każde oczy inaczej widzą, każda głowa inaczej myśli, a jeśli są punkta, na których pozor — nie spotykają się ludzie, między dwóma podobnemi wyobrażeniami, jest jeszcze tysiąc odcieniów. Wyobrażenia bowiem przywiązywane do słów, zależą w ludziach od pierwszych przedmiotów, które z temi słowy weszły do ich pamięci i wypiętnowały się na niej — od usposobienia umysłowego, od mniejszej lub większej giętkości i zręczności umysłowej, od barwy i koloru, jakim są intelektualne oczy ich powleczone, i od której wszystko na co patrzą koloru nabiera.

„Świat, światy — co to jest? wołał rozgrzany pumczem. Przestrzeń bez granic napelniona materją przczroczystą, płynną, sprę-

żystą, jednóm słowem powietrzem, wyobraźmy sobie w śród niej ogromne kule ogniste, świecące, drugie mniejsze, mniejsze, mniejsze, obracające się koło nich.

Między temi kulami jest jedna maleńka.— Nazywa się ziemia — tak ją nazwała część stworzeń mieszkająca na niej. Cóż to jest ta kula w millionie kul zawieszona, obracająca się w nieskończonej przestrzeni, otoczona nieskończonym kręgiem miejsca, na której kręcą się małe stworzenia, drobne robaczki—? to ziemia!

Ziemia okryta jest różnemi górkami i dołkami i kałużami, otoczona parą unoszącą się nad nią w obłokach, jak para nad garnkiem kaszy. Na téj ziemi są różne stworzenia ukryte w jej dołkach, szczelinach, między krzewami, budujące sobie, klatki, z proszków, które wiatr i wicki naniosły.

Są tam jedne stworzenia, które latają nisko, niżéj obłoków nad ziemią.

Są drugie pływające na kałużach.

Są trzecie wijące się po ziemi.

Są czwarte zakopujące się w ziemi.

Są piąte chodzące po niej.

Są szóste, które latają, pływają, wiją się, zakopują i chodzą — te są najosobliwsze. Uroiły sobie panowanie nad światem! ci nazy-

wają siebie ludźmi. Wszystkie zwierzęta naśladować potrafią, uczą się od nich i rządzą nimi — a jednak mniej daleko innych zwierząt na ziemi, jak ludzi!!

Człowiek! zagadka niepojęta — w dzieciństwie jest zwierzątkiem, pierwsze iskry rozumu robią go aniołkiem, świeżość myśli, wdzięk ciała, wszystko się do tego przyczynia. Potém ten anioł zmienia się nieznacznie w istotę pośrednią, między człowiekiem a duchem, w miarę, jak widzi świat, jak spadają z przedmiotów złudzenia, jak ogień młodości i zapał się szafuje — potém niedowiarek zimny z sercem pokaleczoném, jest to pół człeka, pół szatana. Nareście, kiedy wiele utraci, wycierpi wiele, kiedy łzy płynąć przestaną, zakamienieje serce, urodzi się nienawiść dla bliźnich — jest to szatan, cały szatan, z uśmiechem w ustach, z przekleństwem w sercu, z łzą litości na oku, a nienawiścią w duszy, z pobłażaniem powierzchowném, a zemstą ukrytą.

Na starość mięknie ten sam człowiek, niebo przegląda mu w chmurach życia, wzdycha do niego i modli się — potém zwierzęcieje, dziecinieje, staje się rośliną, gnije. — A z jego głowy rosną chwasty, z ciała żyją robaki, z kości robią sadzę do szuwaksowa-

nia butów i na grobie stawia w seciny łat wesołe domy drugim podobnym jemu motylom, których skrzydła prędko opadną! —,

Po takich mowach, wzdychał nieraz Hofman i z nienacka zaczynał jaką powieść dziwaczną, którą potem rozszerzał i pisał. Pamiętam jedną z nich, po której nazajutrz zachorował, zapomniał o niej, nie napisał i zginęła by, gdybym je w mojej głowie nie zamknął. Chcecie — powiem wam ją, jak potrafię — nie ręczę jednak za dosłowną wierność, bo nie steganograwałem.

Kwiat Paproci.

— „Był to właśnie wczoraj S. Jana, gadaliśmy nad bowlem punczu o sławnym kwiecie paproci i o cudowném podaniu, które do niego jest przywiązaném. Powiadają, odezwał się jeden, że w wczoraj S. Jana wyjść trzeba samemu jednemu do lasu i szukać tego kwiatu, ma on być nieopisaną pięknością, niestałych i zmiennych, ale pięknych kolorów — nigdy nie więdnąc. Ten co go posiada, widzi wszystkie skarby w ziemi ukryte i ma czego tylko zażąda. Nie tak jednak łatwo, jak się zdaje, zerwać kwiat paproci, rozmaite straszysła — smoki, lwy, węże, piekielne ognie, bronią go w chwili, kiedy się człowiek zbliża ku niemu, ale jak tylko raz

ma dość odwagi, na zerwanie go, chwyciwszy go w rękę, już wszystko ustaje, gaśnie, cichnie, i szczęśliwy nicsie go z sobą gdzie chce.

Gdy jeden tych słów domawiał, wszedł do Kawiarni człowiek wysoki i blady, suchy tak, że suknie zdawały się tylko wisieć na kościotrupie, oczy miał wielkie żółto-płowe i brodę od miesiąca przynajmniej niegoloną rudą. Wlepiliśmy wszyscy oczy w niego, a on siadł, przy opowiadającym i prędko, sucho jak grzechotka nocnego stróża mówić zaczął —

— To są bajki! to są bajki! kłamstwa! oszukaństwa, przez sto lat dzień w dzień chodzę za tym kwiatem, ale go niema nigdzie! dzieciństwo! marzenie! —

Paproć ma kwiat maleńki, żółto-biały, osadzony na liściach z przecwrótną stroną — patrz Botaników i czytaj Herbarze — to bajki! bajki!

— Nie inaczej i my myślemy — odezwowało się kilku. Rudy przychodzień zamyślił się — i półgłosem dodał — Chciałbym żeby to były bajki!

— Więc to prawda? podchwyciliśmy.

— Ja niechcę, żeby to była prawda, to mnie nadto boli.

— Kwiat paproci?

— Wspomnienie.

— Czego?

Rudy nie nie odpowiedział, tylko po włosku brodę sobie wyrывał.

Daliśmy mu wina i fajkę, skosztował jednego, powąchał drugiego i rzucił — Szkara-dne wino, bezecny tytuń! zawołał.

— Jednak to najlepsze w mieście.

— Zobaczycie — I to mówiąc wylał najlepsze nasze wino Reńskie, stary *Schloss Johannisberger* za okno, wysypał nasz wonny Knaster, i z flaszką i pudełkiem wyszedł do sieni. W pięć minut powrócił z winem i tytuniem i dał nam skosztować.

Zapach, który się rozszedł od wina. wprawił nas w rodzaj osłupienia — było ono reńskie, każdy przypomniat sobie, że gdzieś czuł, czy marzył taką woń rokoszną — iż gdybyśmy nałożyli fajki, niebieski dym unosząc się z nich, zdawał się z nieba przybywać — Był to Knaster, ale taki, jakiegośmy nigdzie palić jeszcze nie mogli, Knaster siany, suszony i krajany w raju.

Nieznajomy obojętnie przyjął zadziwienie nasze i podziękowania, palił tytuń i pił wino, nie troszcząc się o nas — my coraz zaglądaliśmy do butelki, ale z wielkiem po-

dziwieniem naszym, chociaż ze dwadzieścia szklanek jużemy wypili, wina nie ubywało, ani tytoniu. Najbliżej siedzący nieznajomego, pijąc i paląc fajkę, odsuwali się jednak od niego z przełękaniem dziecinném. Ja jeden dotrzymałem miejsca przy nim i uporczywie nalegałem na niego, aby mi powiedział swoje życie.

— Moje życie? wołał rudy — jest piekielna męka, nie dość że cierpieć, trzebaż jeszcze całe życie mieć w głowie przeszłe cierpienia, nie mając przeszłych rokoszy?— Potém milczał, a w kilka minut nieproszony mówić zaczął.

„ Było to w dzień Świętego Jana, w domu nie było chleba, dzieci moje wyciągały do mnie ręce płacząc, a ja nie miałem im co dać, żona przedawszy ostatnie swoje łachmany, przyniosła im zgniłych i kwaśnych jabłek, bo w mieście chleba nie dostała — pożerały je biedne zgłodniałe — nie mogłem na to patrzeć i uciekłem z domu. Na ulicach pełno było ludzi postrojonych, matki z postrojonemi dziećmi, ojcowie z drobnemi na ręku — moje biedne płakały z głodu. W rozmowach przechodzących, słyszałem o kwiecie Paproci, śmieli się z niego, ja z rozpaczą w sercu, bez myśli poszedłem do lasu.

I w lesie pełno było ludzi, dziewcząt, chłopców, śmiechu; uścisków, radości, które mi rozdierały serce — bo myślałem o moich dzieciach głodnych. Wieczór był piękny, xiężyc świecił, błyskały w krzakach świętojańskie robaczki, chłodny wiatr, ledwie gałęzie drzew poruszał. Szedłem dalej w las — w oddaleniu za mną ginęły śmiechy, krzyki, głosy, wszedłem w ciszę zupełną, w gęstwinę, tylko robaczki świeciły, tylko wiatr szumiał, i xiężycowe promienie padały gdzieś niegdzie na listki. Nagle o kilka kroków od siebie postrzegłem na łodydze ogromnej paproci, jasny kwiat złoto-niebieskiego koloru. Wznosił się może łokieć nad ziemią, a był tak wielki, że w nim wygodnie spocząć mógłby człowiek, miał siedem liści, i siedem pręcików świecących, jak promienie słońca i siedem małych listków przy łodydze — domyśliłem się od razu, że to jest kwiat mego szczęścia i poskoczyłem ku niemu.

Lecz kiedy już wyciągałem rękę, naokoło jak z kotła buchnęły płomienie i kwiat się podniósł, potem z płomieni, wyskoczyły smoki siedmiogłowe, wzięły się skrzydłami i zaczęły skakać wyjąc takimi głosami, jakie chyba w piekle postyszyć można. Na samym kwiecie tańczyło siedmiu diabłów zielo-

nych, a na średnim słupku trzymał się na ogonie wyprężony wąż niebieski, z którego pyska widać było język palący się jak świeca. Cofnąłem się krokiem i pomyślałem, albo wezmę, albo zginę, jeśli dostanę, dzieci moje nie będą głodne, jeśli zginę—nic im moja śmierć nie zaszkodzi. Przystąpiłem, wrzawa rosta, płomienie buchały, smoki obracały się tak prędko, jak najmniejsze z kół młynowych — wyciągnąłem przez nich rękę, posunąłem się nie patrząc, chwyciłem za łodygę i już kwiat był moim.

W momencie wszystko ustąpiło i zgasło, tylko siedmiu djabłów zielonych skoczyło na ziemię, pozdejmowali kapelusze, zaczęli mi się kłaniać i drwić ze mnie.

— A! winszujem! winszujem! wołali, ślicznąś rzecz dostał, schowaj do kieszeni, schowaj do kieszeni, poparzy ci ręce! — winszujem.

Jeden śmielszy zbliżył się i chciał mi wyrwać kwiat z ręki, uderzyłem go po głowie i zniknął. Myślałem potem co robić z kwiatem, jak go użyć, gdzie schować, ale zaledwie o tém pomyślał, kwiat zmniejszył się, złożył jak do pularcsu, włożyłem go w kieszeń z boku i szybko powracałem do domu.

Zaledwie wyszedłem z lasu, całe pole mię-

dzy mną a miastem ujrzałem nasiane pieniądźmi, które wszystkie w głębi ziemi widziałem; wszystkie skarby były mi widoczne, ale nie mając ani rydla, ani łopaty, ani czasu, musiałem odurzony i uszczęśliwiony powracać do domu.

Zastałem w nim taką samą, jakom porzucił nędzę, ale zaraz na progu, wyjąwszy mój kwiat, zażądałem od niego jedzenia. Stół nakryty wszedł kominem — ten cud nie bardzo głodnych zadziwił, nie myśleli z kądem i jak przyszło, byle jedli. Potem zażądałem sukni, domu, majątków i wszystko było na moje roskazy. Uwierzycież temu, we dwa tygodnie tak byłem znudzony, nie wiedząc czego żądać, że zacząłem zazdrościć chwili, w której pracowałem na kawałek spleśniałego chleba.

Żona moja z początku rada odmianom, widząc nareście jak cudownie przychodziły, pomyślała nakoniec, że dem djabłu duszę sprzedał, płakała cały dzień i noc, modliła się, ale bojąc się mnie, nie mi powiedzieć nie śmiała.

Przyszła następna Wielkanoc, poszliśmy razem do spowiedzi i uspokoiła się nareście, nie mogąc jednak pojąć, jakim sposobem działy się wszystkie te cuda.

Ale mnie z temi wszystkimi dostatkami, coraz nudniej było na świecie, miałem czego

tylko żądałem i niepodobna mi było, wymyśleć żądania. Poznałem wówczas, że w życiu człowieka, więcej robią przyjemności żądania i nadzieje, niż samo użycie. Kilka razy miałem ochotę precz wyrzucić ten kwiat przeklęty, alem się lękał nędzy, na której wspomnienie drżałem. Tym czasem najnieurostropniejsze żądania moje, często z zapożnym żalem, spełniały się cudownie.

Tak raz, gdy mi najmilsze moje kwiaty, potłukły z wazonami dzieci, w pierwszym gniewie wyrwały mi się słowa:—

— Bodajem was więcej nie widział.

Wieczorem próżno po całym domu szukałszy dzieci, nie było ich nigdzie, rozesłałem ludzi na wszystkie strony, Karolka i Emilki nie było. Smutni siedliśmy do stołu i nie jedli. Lecz, gdy roznoszono potrawy, sługa przez zapomnienie stanął koło ich miejsca i łyżka sama nałożyła jedzenia na ich talerze.

— Jesteście tu! zawołałem.

— Tylko cośmy przyszli z ogrodu Papo, odezwały się dwa ich głoski dziecinne. Obeszłałem się, ale krzesła były próżne i nie-widać ich było.

— Gdzież jesteście?

— Siedzim za stołem.

— Czyż ich nie widzisz, odezwała się w téj chwili moja żona, ja od kwadransa spostrzegłam ich już, i myślałam że widzisz ich także.

Niestety! poznałem w téj chwili, że ich już nigdy więcej nie miał widzieć, dotknąłem rękoma, oboje, ale oczy moje próżno się siły, zobaczyć je — dla nich już nie było moich dzieci.

Na nieszczęście, skutki żądań przez cudowny kwiat paproci otrzymane, już tym samym sposobem odwołane być nie mogły. Musiałem być ostróznym w gniewie i przekleństwach, bo dwóch już sług moich ziemia pożarła, a jednego piorun zabił, w chwili, kiedym uniosłszy się gniewem, przeklął ich tym sposobem, nie przywiązując żadnego znaczenia, do słów na wiatr wyrzeczonych. — Niewidzialne dla mnie dzieci moje, wkrótce potem poumierały — żona ze smutku poszła za niemi, ja sam jeden zostałem, miałem wszystko czegom żądał, ale byłem sam jeden. Nie mogłem się nawet spodziewać śmierci, bom uczynił życzenie, żyć lat tysiąc, a rok każdy dla mnie wlokł się na ślimaku.“

Nieznajomy zamilkł, skupiliśmy się koło niego i zaczęliśmy prosić o pokazanie kwiatu. Opierał się długo — potem wydobył z za su-

kni, zamknięty pugilares, odwinął papiery, uczuliśmy wszyscy zapach niesłyszany nigdy, jeszcze kwiatów rosnących w raju, i nako-niec ukazał się nam cudowny kwiat. Nie był wyschły, ani zwiędły, i zdawał się cały brylantami sadzony, tak, że przy nim wszystkie światła pogasły — oczy nasze oderwać się od niego nie mogły.

Nieuważaliśmy, jak ktoś obcy, wsunął się między patrzących i nagle pochwycił go z całej siły, szarpnął do siebie, urwał ze sznurkiem i wybiegł.

Dawny jego posiadacz, nie bronił się wcale, pozwolił go wziąć i usiadł spokojnie przy nas pić wino i fajkę palić.

— Cóż teraz poczniesz? zapytałem.

— Mój kwiat powróci do mnie.

Czekaliśmy aż do północy, ledwie ta godzina wybiła, kwiat rozwinięty, błyszczący wszedł do izby wlokąc za sobą złodzieja, który przytrzymany liśćmi za rękę, napróżno się wrywał.

Nieznajomy wziął kwiat, odczepił złodzieja i puszczając z ust fajkę, zawołał — Za karę przemieniam cię w połapkę na myszy — zdradzaj i zabijaj — przynajmniej nie ludzi.

Ledwie tych słów dokończył, na środku

stała już poławka ze słoniną i czekała na myszy.

W rok dopiero po tym wieczorze, zobaczyłem nieznajomego posiadacza kwiatu paproci, przyszedł znowu w dzień Ś. Jana do naszej kawiarni, ale już zupełnie inaczej wyglądał, otyły był, włosy miał czarne, twarz rumianą, ale humor jego nic się nie zmienił, tak był smutny, jak wprzód.

— Pytałem się, jak ten rok przepędził?

— Nędznie! odpowiedział. Przekonałem się, że są rzeczy, których nie można dokazać kwiatem paproci.

— Cóż takiego? zapytałem.

— Szczęścia, rzekł smutnie, chodzę za nim i nigdzie go nie ma, mam wszystko i nic mnie nie cieszy, sprzykrzyło mi się żądać. Nikt mnie nie kocha, próżno żądam tego, od czarodziejskiego kwiatu, on mi nie pomaga. Obojętni, zimni, wszyscy mnie omijają i zostawiają w środku obcego. Po tych słowach wyszedł i znowu rok upłynął, nim go w dzień Ś. Jana zobaczyłem w naszej kawiarni. Skarżył się znowu. Ożeniłem się, rzekł powoli, myślałem, że tym sposobem zrobię sobie rodzinę nową, że mnie ktokolwiek na tym świecie szerokim kochać będzie; — naprożno, widzę jak na dłoni serce mojej żony, pełne

jest strojów, fraszek, młodych twarzyczek, a mnie tam niéma! — Gdybym jak inni, mógł przynajmniej wyobrazić sobie, że jestem kochany! Ach! a tysiąca lat koniec jeszcze daleki.

Od téj ostatniej rozmowy, jużem go nigdy nie widział, mówił Hoffman, i próżno w każdym dzień Ś. Jana do Kawiarni przychodzę — on się już nie pokazuje.

Gdy Hoffman na ostatnią już swoją zapadł chorobę, przewidując, że wycieńczenie szpiku w kości pacierzowej, inaczej jak śmiercią skończyć się nie może, a nie chcąc być jej świadkiem, wyjechałem z Berlina, do Włoch, a mianowicie do Rzymu, który łakomie pragnąłem oglądać.

Rzym jest jak jedna z piramid, stoi on na świadectwo sił przeszłych wieków i potęgi, wielkie mauzoleum państwa Rzymskiego, wielka nauka o niestałości rzeczy ludzkich, o której tutaj bardziej jak w ruinach Palmiry rozmyślać trzeba mimowolnie.

Ileż to popiołów wielkości kryje się pod temi gruzami, na których wyschły bluszcz rośnie i sowy śpiewają. Dojeżdżałem do Rzymu od strony błot Pontyńskich, gardząc *aria cattiva*, której ślady widoczne zachodziły mi drogę, na bladych twarzach pastuchów trzód

bawolich, nędza i choroba spotykały mnie u wrot dawniej wesołego Rzymu, Rzymu Nerona, Rzymu Marka Antoniusza i tylu jeszcze wielkich i nikczemnych!

Pusta była Kampania w około, .potém' na niebieskiem tle oddalenia, pokazały się wieże — mury, których fizionomia podobną była do zabalsamowanego trupa, do tych karawan zasypanych piaskiem pustyni, które stoją ze wszelkimi życia znakami, a nie żyją. Puste były ulice, gdym wjechał, w kilku tylko kramikach siedzieli rzemieślnicy próżnując i kilka kobiet ziewało w progu domów. Cichość poważna, grobowa, przerywana głosem roznoszących wodę zimną, melony i *macca-roni*, panowała nad miastem. Nad głowami mémi stał wielki grobowiec Michała Anioła, jego sława—Kościół S. Piotra, olbrzymia głowa wszystkich Kościołów świata — w koło pozamykane i bezludne pałace, wielkie szkielety bez duszy, dzieła Palladiów, Michałów, Berninich, opuszczone i zaniebane. Dalej świątynie pogańskie przechrzczone na Kościoły, ruiny Collizeum, ruiny łaźni, ruiny pałaców, groby grobów. Na tém wszystkiém lud wybladły, wycieńczony, ospały, leniwy, ruiny Rzymian dawnych. Mogęż wam opisać to miasto, które musicie widzieć żeby poznać, mo-

gęż dać wam wyobrażenie cudów sztuki, które zobaczycie w Łóżach Raphaëla d'Urbino? w Muzeum *Pio-Clementino*, w pustych pałacach w których mieszkają obrazy wszystkich mistrzów włoskiej szkoły? — Resztę Rzymu opiszą wam inni podróżni, piramidę Metelli, płowy Tybr Horacjusza, Villę Cicero-na, Kolumnę Trajana, Katakomby, mozaiki Ś. Piotra i wszystko, co zwykli wędrownicy szeroko malują, każdy krytykując tego, który był, pisał i swoich poprzedników czernił przed niemi.

Pod gorącym Włoch niebem, rodzą się czasem ludzie, jakich inne części świata nie wydają, z ciałem wysuszonym od słońca, duszą mocną i działającą, włosiem czarnym, twarzą ruchawą i odmieniającą wyraz co chwila, z oczyma pełnemi ognia i życia, z niespokojnością otaczającą ich serce, która pcha ich w zamęt najdziwniejszych wypadków, ciągłym biegiem z jednych w drugie. Tacy są i tutaj rzadkim fenomenem, bo opuszczenie i nie-dbalstwo, bez wątpienia z gorąca pochodzące, jest jedną z cech charakteryzujących klasy niższe. Lecz w śród tłumu wyrodzi się czasem ktoś na bohatera, na wielkiego człowieka, na diwotwór moralny. Okoliczności pełną nim, zgniotą go i stłuką, nikt nie za-

tuje, bo nikt nie wie do czego mógł być zdolnym, ten, po którym pamiątki żadnej nie zostało. Jednym z tych dziwośworów był Giuseppe Balsamo, później zwany Cagliostro — był on rodem z Palermy, piszą niektórzy, lecz w istocie z Rzymu. Urodził się z matki, żony dość biegłego sztycharza, — Paolo Balzamo, w kilka dni po urodzeniu syna, przechodząc pustą Ulicą, wieczorem, pchnięty został sztyletem i umarł. Wdowa po nim młoda i piękna jeszcze, lecz rzadkim we Włoszech przypadkiem, cnotliwa, mimo otaczającej ją nędzy, nie chwyciła się próżniackiego i rozwiązłego życia, nieutulona po stracie męża, miała potem tylko dwóch kochanków, którzy jej życie utrzymać dopomagali. Balzamo nie jej nic zostawił, prócz wielkiego zbioru rycin i szkiców swoich i cudzych, mnóstwa tablic miedzianych różnej wielkości i rylców, zaczętych machin, zarysów, projektów, jakie się zwykle zostają po ludziach, którzy się do wielu rzeczy biorą, dla tego, że żadnej dokonać, nie umieją. Wdowa niepotrzebując nigdy gwałtownie pieniędzy, nie myślała nawet o sprzedaniu po mężu pozostałych gratów zwalonych w ciemnej izdebce. Kołysany na kolanach matki i jej kochanków, wyrósł piękny, zwinny, żywy Beppo, Beppo-

lo, Beppolino, pieszczony, kochany, bez starań o przyszłość jego, bez myśli, bez żadnego kierunku. Od dzieciństwa okazywał wiele dowcipu, zręczności, ciekawości i bystrości w pojęciu, — w czarnych jego oczkach pałała chęć dowiedzenia się wszystkiego, nie było dziurki, którąby nie zajrzał, rzeczy, którejby nie obracał w rękę, o którejby się nie zamyślał tak głęboko, jak tylko dziecię zamyślić się może.

Z ciemnej izdebki wyciągał powoli Beppo rysunki ojca, które stanowiły najulubieńszą jego zabawę i całe dnie rozmawiając głośno z niemymi postaciami, dorabiał wąsy aniołkom a świętym rogi, i śmiejąc się biegł z nimi do matki, pokazywał, cieszył się, skakał. Czasem na odwrócie rysunku, na białej jakiejś kartce zaczynał rysować, co mu na myśl przyszło, i tak otoczony ciągle sztychami, śpiąc z nimi i budząc się koło nich, wyuczył się nieźle rysować, — już w dziecińczych jego obrazkach przebijała się czasem myśl i życie. Matka parę razy pokazawszy robotę synka, zapomniła o tém. Beppo jednak nie ustawał w swojej zabawce, prócz której tysiące jeszcze figlów go zajmowało, szczyty sąsiednich domów, koty, psy, ptaszki, całe sąsiedztwo, było przedmiotem głębokich jego

uwag i długo wysmażanych figlów. Nie było dnia prawie, żeby o dziesięciu myśląc, choć jednego nie spletał, a w najgorętsze dni, kiedy wszyscy w koło, nawet Lazaroni nadzy i ubodzy, przestawali wyciągać wychudłe ręce do przychodniów o paola prosząc — on często nie spał, rysował, lub czatował na co. W ciągłym był ruchu dzień i noc, a z wzrastaniem jego życia, ta potrzeba działania nieustannie zwiększać się zdawała, rysowanie jego na wzorach wykształcone, znośném się stało, on zaś sam tak dalece naprzykrzył się wszystkim sąsiadom, że matka, którą wiek rozumniejszą uczynił, lękać się zaczynała, aby go kto zabić nie kazał, tak jak psa, który w nocy pod oknem szczekając spać przeszkadza. We Włoszech zabijają i modlą się jednego dnia, jednej godziny, jednej chwili, sztylety mają kształt krzyżów, a religija utarta i zmieszana z zazdrośnym, leniwym, bojaźliwym charakterem narodu, wydaje mięszaninę trudną do pojęcia. Beppo zaczął się uczyć rysować, a matka jego porzuciwszy, to jest: porzucona i od dwóch ostatnich kochanków, żyła z nim z zebranych ostatków jak mogła.

Feliciani bronznik biegły w swój sztuce, który się trudnił wylewaniem posągów, krzy-

żyków, starożytności, numizmatów, medalów i innych tym podobnych rzeczy, był starym przyjacielem ojca Beppa. Feliciani był Włochem po same uszy, powolny, ospały, leniwy, brudny, zły, nieszczerzy i fałszywy. — Żonę miał Marią krzykliwą i dziwną kobietę, niegdyś bardzo ładną, z której urodziła mu się córka Lorenza, ładna, żywa, trzpiotowata, mało myśląca, lecz ruchawa, o którą się wielu chłopców ubiegało.

Feliciani upatrzył w Beppie niepospolite zdatości, uważał, że jego rysunki prędko kręślone, często niepoprawne i nieczyste, miały jednak cechy talentu i życia; starał się więc nakłonić go, aby do niego przystał i obiecywał rozmaite nagrody, jeśli się chciał do jego sztuki przykładać pod jego przewodnictwem. Matka namawiała Beppę, on uparty, marszczył się i nie chciał. Sama myśl wyznaczonych godzin pracy ciąglej, nudy nieoddzielną prawie od jednostajnej roboty, niewoli i przymusu — oddalała go od warsztatu Felicianiego na *Strada delli Pellegrini*. Próżno matka prosiła. Beppo wolał pół dnia latać po Rzymie bez celu, hukać w ruinach pustych przedmieść, zapuszczać się w ciemne przejścia wodociągów, łązić po obalonych wschodach amfiteatrów — niż siedzieć,

siedzieć i siedzieć nad warsztatem, wyrabiać formy i robić tylko to co kazano. Próżno matka okazywała mu w tém nadzieję, polepszenia nędznego ich bytu — Beppo dzieckiem jeszcze już był samolubem — śmiał się, kiedy mu mówiła o swoich korzyściach, pociesze — sam nie widział w tém pożytku, a o cudzym myśleć nie chciał. Jednakże czasem zaglądał do warsztatu Felicianiego, lubił widzieć rodzące się z brył niekształtnych metalu żyjące osoby, twarze, lubił rozprawiać ze starym bronznikiem i kłócić się ciągle mu sprzeciwiając, lub od niechlicenia niby gnieść formy, które najwięcej kosztowały czasu i pracy. Raz zobaczył Lorenzę — Spójrzeli na siebie dwoje razem, zobaczyli w sobie ten sam ogień, tę samą żywość, i pomyśleli oboje, że bardzo by się z sobą zgodzili. Beppo częściej wracał do Felicianiego i ciągle znówu sprzeczał się i kłócił żartując z jego córką. Stary bronznik patrzył na to i pozwalał im zaznajamiać się z sobą, bo sądził nie zbyt bezzasadnie, że czarne oczy Lorenzy, przyciągną Beppę do warsztatu. Przeciwnie matka, kwaśna zawsze, jak gdyby ubolewała nad nikuącą pięknością swoją, łajała Beppę, zakazała córce z nim gadać i myśleć o nim. Powolność ojca, mniej daleko przyłożyła się

do zwabienia Beppa, jak zakazy matki, lubił robić na złość, i im więcej ona krzyczała, tém on częściej przychodził, tém dłużej siedział i bardziej ją niecierpliwił. Lorenza byle mogła uśmieć się z nim i potrzpiotać, mało uważała na matkę. Jój guiew droższe czynił chwile zabawy. Uderzyło także Beppa, że stary bronznik, nigdy już go nie zachęcał, do uczenia się jego sztuki, obrażony tém, zaczął niby pracować czasami, wyciskał formy od niechcenia, tłukł je, śmiał się i uciekał, chciał aby przekonawszy się o talencie, Feliciani znowu go namawiał, ażeby mu mógł powtórnie odmówić. Lecz Włoch stary poznawszy jego charakter, milczał i udawał, że nie widział tego co on robił, lub zmuszony do zobaczenia, pogardliwie trząsał głową.

Gniewało to Beppa, który przy swoim żywym charakterze, czuł w sobie jakieś przecie doskonałości i widział, pojmował, że trzeba go było chwalić. Z głową pełną marzeń, które się w niej snuły, nawet pośród zatrudnień i wypadków pospolitego życia, choć fałszywie, niedokładnie, myślał jednak o wielu rzeczach. Każdy widok, a Rzym ma ich tyle, wzbudzał w nim uwagi, których sam dokończyć nie mogąc, czasem w śród rozmowy

wy najobojętniejszój, rzucał zapytania dziwne, wyższe, które zbywano odpowiedziami oklepaniami, od stu lat przyjętymi.

Zwaliska — obszerność miasta, jego wyludnienie, pamiątki władzy i wielkości Rzymu, o które się ocierał, które deptał nogą, rysując się potem w jego umyśle, same sobą zadawały pytanie, — Gdzie ta wielkość? Cemu znikła?

Grobowce i sławne imiona, pytały go i dręczyły myślami sięgającymi za groby, amfiteatry na kilkadziesiąt tysięcy osób, cyrki trawą zarosłe, stawały w jego myśli z widzami, z ruchem, życiem swoim dawniejszym. Ileż to razy w młodym, dziecinnym prawie wieku, niezdolnym do wyższych pojęć, zaczyna się ta fermentacja wyobrażeń, której ostatni, trzeci stopień, dosięże się dopiero w starości — ile razy myśl dziecinną czepia się po wierzchołku rzeczy wielkich, i starym używającym zdolności swych w pełni i schyłku niedostępnych — czepia się jak robak po piramidzie! Zastanawiając się nad wszystkiem, Beppo często zwracał odbitą uwagę na siebie i zazdrościł wielkim, wielkości i sławy — nie byłże to pierwszy krok do czynnego życia, do śmiałych zamiarów?

Fałszywie by jednak sądził, ktoby myślał,

że te rzeczy zajmowały ciągle dziecię — wśród rysunku, biegania, swawoli, w warsztacie Felicianiego, w zabawach z chłopcami, jak mgły snuły się one pomieszane, poplecione z myślami o dziecinnych igraszkach.

Wkrótce jeden z jego rysunków, wpadł w ręce Kardynała Tremolari, który wyszukał młodego rysownika, dość mu dobrze, za niego zapłacił i zachęcił do dalszej pracy. — Z pieniędzmi, które brał za rysunki, nowe życie zaczęło się dla Beppa — rzucił się we wszystko co mu się zdawało łakomém i rokoszném. W dzień pracował usilnie, ale bez myśli, aby coś zarobić, wieczory i rokoszne nocy włoskie, przepędzał na rozpustnych zabawach, przy winie, kobietach, za stołami gry, wśród stęku pospólstwa. Gdzie tylko był cień uciechy dostępnej dla niego, gdzie były kobiety, śmiechy, wino i kości, Beppo był także niezawodnie. Matka gniewała się, nie wiedząc zkąd brał pieniądze, Beppo śmiał się i robił swoje. — Lecz widząc, że ciągle rysuje, a rysunki te nikną, domyśliła się nareszcie, zkąd je bierze. — Ucieszyła ją myśl o postępach syna, zasmuciło to, że i grosza nigdy jój nie dał, widząc ją w kłopotach i niedostatku, i widok końca zwykłego rozpusty — chorób i śmierci. Prze-

kładała mu ze łzami swoje żale. prosiła go, aby się poprawił. Lecz obcowanie z ludźmi zepsutými, złeni lub głupieciami, zrobiło niezmażany rys na jego charakterze. Oswoił się z drobnymi występkami, prowadzącemi do większych, wyobrażał sobie, że jest zdolnościami wyższy od większej części ludzi — a ztąd poszły — obojętność na środki, byle dopiąć celu i zarozumiałość. — Przyłączyła się do tego chęć sławy, która z zarozumiałości wynikać musiała — a po żądzy rokoszy, stała się w nim najsilniejszą. Zmieszany z tłumem, czując się wyższym od niego, myślał i roił sposoby odznaczenia się. Głowa jego napełniła się zarysami najrozmaitszych zamiarów i myśli, a że nawet wśród pospolitych zatrudnień, nie opuszczał jego głowy ten najazd wyobrażeń, stało się, że myślał o wielu rzeczach w młodości, o których inni później i to tylko w dni świąteczne próżnując myślą.

Życie Beppa wydawało mu się rokoszném, i było niém w istocie, brakło mu tylko téj sławy nęcącej go z daleka, o której myśląc, truł sobie najweselsze chwile. Lecz powolny i niezdecydowany, wahał się z obraniem drogi do niej i szedł tym czasem na los ślepo. Dziwował się po sobie nie raz, kiedy

przepełniony wszystkimi zwierzęcemi roskoszami, czuł brak czegoś jeszcze — nie będąc wcale psychologiem, tłómaczył sobie tę czczość i niesmak, swoją chimera sławy, dla której jednak urojonych rokoszy, niechciał rzeczywistych porzucać.

Taki był stan duszy Cagliostro, który potem miał obiedz całą Europę z najdziwniejszą nisia oszukaństwa i rozpusty, w charakterze czarnoxieźnika i cudotwórcy, w którego ósmnasty wiek filozofii i niedowiarstwa, śmiejąc się wierzył do połowy. Empiryk, nekroman, astrolog, alchemik, Hrabia Cagliostro, Hrabia Harat, Hrabia Fenix, Margrabia d'Anna, Baltimore, Cadgilesker, ożeniwszy się z Lorenzą 1769 roku w Kościele *San Salvatore in Campo*, po siedmiomiesięcznym pobycie w Rzymie, wędrował do Wenecyi, Genui, Aix, Barcelony, Madritu, Lizbony, Londynu, Cantorberi, Paryża, Rossii, Polski, Azii, Arabii Turcii — i powrócił do Rzymu 1790 roku, w którym pochwycony i osądzony, umarł w *Castel Sant Angelo*.

Nie powiem wam, jak wyglądał, zobaczcie portrét jego przez naszego Chodowieckiego rytowany, jedno z najlepszych dzieł jego. Słyszałem w Rzymie opowiadanie o jego sławnej uczcie ludzi wielkich, za którą wzięty, przypłacił życiem.

Z Rzymu wybrałem się do Sztokolmu, a niemogąc dostać przewodnika, kupiłem sobie — *Wägwisare til och ifrån alla Städer och Namn Kunnige Orter uti Swea och Götta Riken* — który wprawdzie miał mi w Szwecji tylko służyć, ale resztę drogi spodziewałem się odbyć, spuszczając się na przeczucie mojego konia, któremu powiedziałem dokąd chce jechać.

Dobrze było, pókiśmy lądem jechali, ale jak przyszło nad morze, koń stanął i ja z nim — Co tu robić? — Idź wpław — powiedziałem do konia. Woda bardzo słona — odpowiedział mi trzęsąc uszami — czekajmy na okręt.

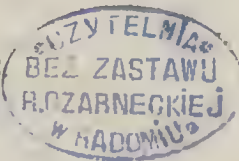
Uśłuchawszy jego rady, czekałem dwa lata nad brzegiem, nie zsiadając, żeby być zawsze gotowym, trzeciego dopiero, zabrała nas fregata szwedzka nazywająca się — *Sledź* i przywiozła do Szwecji.

— Do stołu dali — zupa stygnie —

— Zaraz idę.

Pojechałbym do Sztokolmu, ale sami powiedzcie, czy godzi się dać ostygnąć obiadowi? — Muszę więc podróż na drugi raz odłożyć.

K O N I E C



SPIS RZECZY.

I. <i>Wyjazd w drogę</i>	1.
II. <i>Popas w Utrechcie. Anna Marja Schurman—</i>	
<i>Biografia</i>	3.
III. <i>Ksiądz Baka S. J.</i>	33.
IV. <i>Przechadzka po Bibliotece. Goniec cnoty.</i>	
1574. Vita S. Stanisłai. 1511. Index Libror.	
prohibitor. 1764. Marcin Polak. O Tabace.	
1650. Parallele Warszawickiego i August	
wzbudzony Grochowskiego. — Pisma	
żartobliwe XVII wieku. — Dawne Kome-	
dje. Trudności tłumaczenia Shakespeara .	48.
V. <i>Pielgrzymka po stolicach. Wyjazd. Paryż.</i>	
Charaktery mieszkańców. Literat i Księ-	
garz. Konstantynopol. Renegat. Madryt.	
Teatr Hiszpański. Berlin. Hoffman. Mo-	
nografia głupstwa. Świat i Ludzie. Kwiat	
Paproci. Rzym. Młodość Cagliostro. Wy-	
jazd do Sztokolmu.	97.

Biblioteka Raczyńskich

JK 445



JK0445